

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Kamienia



NR 13 (780)

19 czerwca - 2 lipca 1983

CENA 10 ZŁ



Karol Wojtyła

KAMIENIOŁOM

I TWORZYWO

1.

Sluchaj, kiedy stuk młotów miarowy i tak bardzo swój
przenoszę wewnątrz ludzi, by badać siłę uderzeń —
sluchaj, prąd elektryczny kamienistą rozczma rzekę —
a we mnie narasta myśl, narasta dzieł po dniu,
że cała wielkość tej pracy znajduje się wewnątrz człowieka.

Twarda, pęknięta dłoń inaczej młotem wzbiera,
inaczej się rozwiązuje w kamieniu ludzka myśl —
kiedy energie ludzkie oddzielisz od sił kamienia
i przetrniesz w właściwym miejscu — tętnicę pełną krwi.

O, popatrz, jak można milować w takim gruntownym gniewie,
który wpada w oddechy ludzi jak rzeka od wiatru pochyla,
i nie dochodzi do głosu, tylko struny wysokie zerwie —
przechodnie pierzeją do bram —
ktoś głosem ścisłym powiedział: to jednak jest wielka siła.

Nie lękaj się. Sprawy ludzkie szerokie mają brzegi.
Nie wolno ich w ciasnym łożysku włożyć narzbyt długo.
Nie lękaj się. Sprawy ludzkie stoją od wieków
w Tym, na którego patrzysz poprzez młotów miarowy stukot.

2.

Związane są bloki kamienia przewodem niskiego prądu,
który wcina się w nie tak głęboko, jak niewidzialny bicz
— kamienia znają ten gwałt,
kiedy dojrzała spoiwość nieuchwytny rozpruwa podmuch,
który odrywa je z nagła od ich wieczystej prostoty
— kamienie znają ten gwałt.
Jednak nie prąd elektryczny rozwiązuje w całości ich moc,
ale ten, co ją nosi w swych dloniach:
robotnik.

Ciąg dalszy na str. 9

Być artystą w Nowym Jorku

ROZMOWA Z TADEUSZEM MYSŁOWSKIM

IRENEUSZ J. KAMIŃSKI: — Urodził się pan 7 maja 1943 r. w Piotrkowie koło Lublina, liceum plastyczne przy ul. Grodzkiej w naszym mieście ukończył z wyróżnieniem w 1963 r., by podjąć studia w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Umiejętność malowania obrazów poznawał pan tam w pracowni Wacława Taranczewskiego, wybitnego kolorysty, dyplom, także z wyróżnieniem, uzyskując w 1969 r., aby zaraz potem wystąpić z wystawą indywidualną w Galerii „Arkady” BWA. Krytyka pisała wtedy, że „Mysłowski ma szansę stania się jednym z wybitniejszych artystów polskich” oraz: „malżeństwo wrażliwości, chłonność, zmysłowości, inteligencji, swobody warsztatowej i smaku estetycznego — przyniosło plód udany w postaci obrazów. Obrazów, którym wario poświęcić czas i uwagę”. Zapowiedzi w Polsce były więc ładne, a tymczasem, jeszcze w roku owej wystawy, osiadł pan w Nowym Jorku, pokazawszy po drodze swoje obrazy w paryskiej Galerie Lambert. Od czego pan zaczął w Ameryce?

TADEUSZ MYSŁOWSKI: — Od zera. Przez pierwsze cztery lata pobytu w USA ograniczyłem swoją aktywność do analizowania sztuki: współczesnej i dawnej.

IJK: — Ale później pańska twórczość dość szybko znalazła drogę do cenionych muzeów i kolekcji amerykańskich.

TM: — Niewiele chyba osób w Polsce zdaje sobie sprawę, jak wielkiego wysiłku wymaga uprawianie sztuki ambitnej w Stanach Zjednoczonych. Tylko w Nowym Jorku pracuje 40 000 artystów a b-wa, że dwukrotnie więcej i działa ponad 400 galerii, propagujących różne tendencje czy formy ekspresji, których charakter i liczebność pozostają w relacji z wielopostaciowym i niewiarygodnie zagmatwanym pejzażem etnicznym tego wielkiego miasta. Obok wielu autentycznych wartości spotyka się tu w sztuce również dużo działości, mierzoty i przeciętności, a wszystko w skali nie spotykanej w świecie, no może kiedyś w Paryżu tak było. Te dwa obszary aksjologiczne pozostają

w opozycji, ale i przenikają się wzajemnie; dopiero ich wypadkowa kreśli coś w rodzaju typowego obrazu sztuki współczesnej w Nowym Jorku, który — co trzeba podkreślić — nie znajduje odpowiednika w żadnym innym mieście amerykańskim. Nigdzie poza nim nie ma takiej koncentracji artystów, takiego wśród nich napięcia w walce o rację i egzystencję oraz tak merkantylnego stosunku do sztuki. Ważnym elementem tej sytuacji jest fakt, że w sąsiedztwie wszystkich zjawisk artystycznych można w Nowym Jorku konsumować wszystkie rodzaje sztuki dawnej, oferowane w reprezentatywnym wyborze i dostępne, biorąc pod uwagę fizyczne możliwości człowieka, w ciągu kilku dni, a nie lat, jak w Europie, gdzie wartości takie są rozproszone w muzeach różnych krajów. Dość powiedzieć, że chcąc obejrzeć „swojego” El Greka w możliwie pełnym wyrażeniu, Hiszpanie musieli z USA sprządnąć jego wystawę. W podobnie dwuznacznej sytuacji bywają Francuzi.

IJK: — W pośpiechu oglądałem no-

wojorskie galerie i muzea, jedno wrażenie zacieralo drugie, ale pamiętam, jak podniecała mnie łatwość przeniesienia się ze świata, dajmy na to, „Lisowczyka” Rembrandta do rzeczywistości sygnalizowanej przez hiperrealistyczne rzeźby Duane'a Hansona w Whitney Museum of American Art, znajdującym się niedaleko The Frick Collection ze wspomnianym płótnem Holendra, które na dodatek zwie się tam „The polish rider”!

TM: — Zmiana, permanentna zmiana... Sztuka przekształca się dziś w ciągu miesięcy, a nie lat, i informacja o nowym zjawisku natychmiast dociera z Nowego Jorku do Tokio czy Berlina Zachodniego, głównie za sprawą dealerów, pośredników w handlu sztuką, którzy prowokują artystów do reorientacji.

IJK: — Tak wielkie mają wpływy?

TM: — Są potężni Leo Castelli, który swego czasu wylansował pop-art Warhola, Oldenburga, Steilla, Rauschenberga czy Lichtensteina, posiada trzy własne galerie, a w razie potrzeby wynajmuje dodatkowe pomieszczenia. Niedawno, po powrocie Roberta Rauschenberga z Chin, urządził mu wystawę w czterech galeriach jednocześnie.

IJK: — Po co, przecież laureat Biennale weneckiego z 1964 roku to

Dokończenie na str. 10-11

z notatnika

1 VI. Wróciłem ze Szczecina, gdzie uczestniczyłem w sesji publicystycznej, zorganizowanej przez redakcję „Głosu Szczecińskiego” i 12 Dywizję Zmechanizowaną im. Armii Ludowej na temat: „Osadnictwo wojskowe na Ziemi Szczecińskiej” Sesje — na różne tematy — stały się już w Szczecinie tradycją, a ta była jubileuszowa, bo dziesiąta.

Zawsze chętnie jeżdżę do Szczecina, miasta, w którym w latach 1957—1964 pracowałem, i w którym, mimo upływu lat, zawsze dobrze się czuję, jako że przyjaciele w większości nie wymarli i — co najważniejsze — zdrowie im ciągle dopisuje. W „Głosie Szczecińskim”, w którym sekretarzuwałem, tzw. ściśle kierownictwo to stare kumple, zawsze mi towarzyszyły i tak gościnne, jakby na wschodzie urodzone.

Bogatej problematyki sesji nie zmieszczę w notatniku, powrócę do niej w przyszłości, bo temat wcale się nie zdezaktualizuje.

Po powrocie ze Szczecina wpadł mi w ręce „Tygodnik Powszechny”, a w nim znalazłem felieton pt. „Rekolacje szczecińskie” pióra Marka Skwarnickiego. Mój imiennik ze zdziwieniem odkrył, że kursuje tu jeszcze kilka tramwajów z dawnych lat, skonstatował, że jest wiele nowych osiedli — „takich samych jak w każdym większym mieście w kraju” i że miasto będące dawniej „dzikim zachodem” przekształciło się w „cywilizowany wschód”.

Wysnułem stąd wniosek, że wspomniane wyżej ściśle kierownictwo wcale nie musiało urodzić się na wschodzie, bo po prostu w „cywilizowanym wschodzie” żyje. Osobiście wolę nawet „nieucywilizowany wschód” niż „cywilizowany zachód”, ale tu już wkraczam w polityczne zawiłości, więc tematowi rozwijać nie będę. Wydaje mi się jednak, że w gruncie rzeczy co innego chciał dostrzec w Szczecinie Skwarnicki, a co innego ja. Choćby Pomorzany, gdzie gościł mnie mieszkający w tej starej — nowej dzielnicy Bodek Shocianowicz, dawny „Głosowiec”, a dziś radiowiec, energicznie walczący zawsze z ekstremą. U niego to poznałem to słynne przemówienie Mariana Jurczyka, wygłoszone na jesieni 1981 roku, bodaj w Trzebiatowie. Prasa cytowała je wówczas w fragmentach. Jurczyk cały czas podkreślał, że nie zna się na polityce. Istotnie! Takiego belkotu dawno nie czytałem i chyba długo nie przeczytam. A swoją drogą warto tego typu dokumenty minionego czasu zachować ku nauce przyszłych pokoleń.

5 VI. W „Tygodniku Pileńskim” sprawozdanie ze spotkania ministra Zygmunta Krasińskiego z przedstawicielami dziesięciu pileńskich zakładów pracy.

Pytanie: — Czyniono nam nadzieję, że wraz z podwyższeniem cen biletów PKP i PKS poprawi się jakość świadczonych przez te instytucje usług. Nic takiego nie zauważam. Wręcz przeciwnie — jeżdżymy coraz gorzej. I jak to tłumaczyć?

Odpowiedź: — Podwyżka cen biletów — będą teraz mówili o PKP — to była tylko podwyżka częściowa.

Dalsze jej etapy nastąpią w roku przyszłym i za dwa lata. Cena biletów na pociąg osobowy nie pokrywa faktycznego kosztu przejazdu. Relacja jest taka: 27 proc. płaci nabywca biletu, a 73 proc. wartości pokrywa budżet państwa. Kolej jest ciągle dotowana. W skali rocznej dotacja ta wyniesie 70 mld złotych. Jest to przecież suma ogromna i warto przy tym uświadomić sobie jeszcze jedną prawdę, że do tych biletów dopłacamy właściwie wszyscy. Ci, którzy nie jeżdżą — też. [...] Dopóki kolej będzie dotowana, dopóki jakość oferowanych przez nią usług będzie daleka od oczekiwanej. Czy można żądać luksusu za te 27 proc. faktycznej ceny biletu, którą płacimy? Dążyć będziemy do tego, żeby cenę biletu przynajmniej w trzech czwartych płacił podróżny”.

Cała nadzieja w tym, że zniesiono reglamentację obuwia. Marsz na świętym powietrzu dobrze służy zdrowiu.

Poważnie jednak: nie chciałbym, aby pracownicy kolei czuli się wyblebeni po tym oświadczeniu ministra. Szczotka do mycia okien, szczotka do zamiatania to nie inwestycja na miarę Huty Katowice, chociażby tych szczotek było 10 tysięcy...

6 VI. Pierwszy Zjazd Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL zakończył obrady. Zatwierdzono statut, dziennikarski kodeks obyczajowy, regulaminy: sądu dziennikarskiego, Głównej Komisji Rewizyjnej i Zarządu Głównego SD PRL, wybrano nowe władze Stowarzyszenia, przewodniczącym został Klemens Krzyżagórski.

Poczekamy na relację ze Zjazdu, która, mam nadzieję, przekaże środowisku nasi lubelscy delegaci. Tymczasem z przemówienia gen. Wojciecha Jaruzelskiego odnotowuję słowa:

„Pragnę stwierdzić jasno: nie będzie powrotów do czasów minionych. Minister i prezes, dyrektor i urzędnik państwowy, nie ma powodów uchylić się przed informowaniem dziennikarza o wszystkim, co nie jest objęte ustawową tajemnicą. Na odwrót — powinien zdawać sprawę opinii publicznej z tego, co robi, jak robi i dlaczego tak właśnie robi. Będziemy łamać opory wobec krytyki i odradzające się stale bariery informacyjne. Prawo prasowe będzie w tym bardzo pomocne. Chcę upoważnić kierownictwo waszego stowarzyszenia, aby informowało biuro rzecznika rządu o wszelkich uchybieniach w tej dziedzinie.”

Pozwólcie jednak, że i rząd będzie informował o dość licznych, niestety, przypadkach lekkomyślnej czy nawet nieodpowiedzialnej krytyki nie opartej o dostateczne zgłębienie problemu. Zdarzają się i fakty niezamieszczania sprostowań lub rzeczowej odpowiedzi na podniesione publicznie zarzuty. Prawo do krytyki musi iść z prawem do obrony”.

Racja. W „Kamieniu” nigdy nie uchyłaliśmy się od drukowania sprostowań i drukowaliśmy nie tylko rzeczowe odpowiedzi. Ale zdarzało się, że ten czy ów uchylił się od udzielania naszym dziennikarzom informacji. Sądzę, że to się już nie będzie powtarzać, bo my go... cytatem!

8 VI. Ten, kto narzeka na nijakość naszej prasy, po prostu jej nie czyta.

W „Tu i teraz” Jan Rem tak zaczyna swój ostatni felieton z rodziny „Samosądów”:

„Pan Janowa Remowa i ja z głębokim zadowoleniem przyjęliśmy ogłoszoną w „Rzeczywistości” nr 22 deklarację naczelnego redaktora Jerzego Pardusa, że stół i stół na pozycjach IX Zjazdu, ani na włos nie odchyła się, czy to od linii porozumienia, czy to walki. Mojej żonie i mnie jest z tego powodu bardzo przyjemnie, a do naszej przyjemności przyłącza się szwagier. Sądził on, że red. Pardus stół na linii zjazdowej tylko jedną nogą, więc teraz szwagrowi użyło. Rezonans naszej rodziny jest zaś bardzo miarodajny, ponieważ łącznie stanowimy coraz znaczniejszy odsetek ogółu wstępniaków red. Jerzego Pardusa”.

Nie komentuję, nie wypowiadam się w tym sporze ani po stronie red. Pardusa ani po stronie red. Rema, jego szanownej małżonki, tudzież szanownego szwagra, aczkolwiek mam o choć trochę przysolić redakcji „Rzeczywistości”, która przeprowadziła ze mną obszerny wywiad, ale nie zajęła się słowem, że wywiad jest właśnie... z mną. Ale ja nie jestem Bohdanem Drozdowskim, redaktorem naczelnym „Poezji”, i nie będę z tego powodu spowiadał się (vide: nr 3 „Poezji” z marca br., który dotarł do czytelników w pierwszych dniach czerwca). Niemniej — również nie ustosunkowując się do wywiadu — chciałem to i owo z niego zacytować, zaznaczając na wstępie, że wywiad przeprowadził Jan Marx, który figuruje w stopce redakcyjnej teź „Poezji”, w jakimś więc sensie Drozdowskiemu podlega. Pod wywiadem zaznaczono czas, w którym był on udzielany: Warszawa 1980—1982. W tym okresie pojazd kosmiczny bodaj ponad 25 tysięcy razy zdąży okrążyć Ziemię, ale to dygresja...

Pyta Marx: „Czy redagowanie „Poezji” satysfakcjonuje Pana, czy nie lepiej czułby się Pan w tygodniku, który dawałby możliwość szybszych manewrów i doraźniejszego reagowania na wydarzenia literackie i stymulowanie życia literackiego? [...]”

Drozdowski odpowiada: „Na co miałbym szybciej reagować? Czasy takie, że lepiej reagować powoli. Poza tym rytm biologiczny mojego życia jest zgodny z rytmem ukazywania się pism, w których pracowałem. [...] Nie mam wigoru ani tym bardziej aspiracji Rakowskiego, po co mi tygodnik?”

Pyta Marx: „Być w literaturze” to znaczy mieć za sobą jakiś układ. Pisarz nie może istnieć bez takiego wsparcia, przy takim zalewie informacji i dezinformacji (jak w Pańskim przypadku). Dawni aktorzy kupowali sobie klakę, żeby mieć podstawy do żądania podwyżek gaży i odnawiania kontraktów...

Drozdowski odpowiada: „Tyle, że dyrektorzy znali te chwytły... Teraz też się kupuje klakierów, jest ich masa do wynajęcia. Można im dyktować, co mają pisać i jak. Na tak i na nie. Byle się trzymało „ustaleń środowiska”. Nie kupi Pan nikogo, żeby napisał ile o kimś z miłych „establishmentowi”, bo to byłoby dla niego koniec. Pan ma odwagę sądu i dlatego jest Pan niewiarygodny dla tak wielu, choć bywa Pan napastliwy i niesprawiedliwy z własnej woli i nada-

nia, a nie na tyczenie „szefa”. Słyszałem, że chciał Pan upchnąć w pewnych warszawskich pismach jakiejś recenzje z moich książek, które, że były pozytywne, odrzucono bez dyskusji”.

Wyjaśnia Marx: „Owszem, informowano mnie, że przyjęłyby recenzje krytyczne. Np. Lam w „ML” (dla niewtajemniczonych — „Miesięczniku Literackim”) — M.A.J.”.

Drozdowski dodaje: „Z książek przez nich jeszcze nie przeczytanych, jak sądzę, bo oni nie czytają, oni wiedzą...”

Dalej Drozdowski mówi o kilku pisarzach, m. in. o Słonimskim, a Marx dorzuca:

„A swoją drogą w obu was jest tyle dziennikarskiej drapieżności, że przyjemnie byłoby popatrzeć — i przeczytać — jak Pan i Słonimski, obaj czterdziestoletni, łapiecie się za krawaty na łamach „Wiadomości Literackich”. To byłyby zapasy wirtuozów. Jeden Nowaczyński mógłby z wami iść w paragon. Mam, oczywiście, formę na myśl. Bo poza wena, ją warto u was obu smakować...”

Więcej cytować nie będę, zainteresowanych odsyłam do trzeciego numeru „Poezji”, w którym poza samą spowiedzią można również znaleźć aneks do spowiedzi. Kończy się on słowami Marxa (ale warto je samemu odczytać w kontekście): „Kończ waś. wstydu oszczędź”, co — moim skromnym zdaniem — stanowi znakomite podsumowanie 20 stron druku „Poezji”, bo tyleż stron ma spowiedź + aneks. Amen.

I jak ja mam się dziwić, kiedy oglądam nadesłane mi przez Wydział Kultury UW w pewnym mieście wydawnictwa poświęcone lokalnym twórcom, w których wymienia się w rubryce twórczość nawet... bibliofilskie druki okolicznościowe w rodzaju listów gratulacyjnych (np. nakład 10 + 10 egz. druk złożony, s. 4) i druki ulotne, zawierające również... programy konkursów recytatorskich...

Wprawdzie śmiech to zdrowie, ale mnie się nie chce śmiać, lecz płakać!

9 VI. Obejrzałem wczoraj w telewizji — a z ekranu wiało nudą — półfinalowy mecz piłki nożnej o Puchar Polski między I-ligowym „Ruchem”, zajmującym w tej chwili czolowe miejsce w tabeli rozgrywek, a III-ligową Lechią. Mecz zakończył się wynikiem 0:0, dogrywka nie przyniosła rozstrzygnięcia. W rzutach karnych przekonująco zwyciężyła... Lechia.

Z kolei Lech, mający realne szanse na zdobycie prymatu w I lidze, przegrał z II-ligowym Piastem Gliwice. W finale Pucharu spotka się więc drużyna... II-ligowa i III-ligowa.

Prasa sportowa będzie zapewne pisać o ambicji, nieustępliwości, żarliwości, bojowości etc. Może być i tak. Obawiam się jednak, że tak jak położył się u nas na obu łopatkach boks, koszykówka, tak i teraz kładzie się piłka nożna Dobranoc!

A może płacić zawodnikom w... zielonych? Czekajmy na eliminacje do kolejnych mistrzostw świata...

M. A. Jaworski

KRONIKA

● Rolnictwo w regionie: niezły wyyp truskawek (80—100 zł za kg na rynku w pierwszym tygodniu czerwca), trochę czereśni, pierwsze sianokosy na pięknie wybudowanych łąkach; ładnie i szybko rosną buraki cukrowe, sadzi się tytoń z inspektów — słowem bardzo dużo roboty w polu. Stonka z braku tego, co lubi, zżera nawet maliniaki leśne (!) i koniczynę. Środków owadobójczych brakuje, meszka tnie pracujących ludzi. W lasach pierwsze grzyby: piestrzeniec oraz prawdziwki.

● Ks. prymas Józef Glemp w asyście ks. rektora Mieczysława Krapca dokonał odsłonięcia pomnika Jana Pawła II i kardynała Stefana Wyszyńskiego na dziedzińcu KUL-u. Obecni

byli m. in. wojewoda lubelski Tadeusz Wilk i przewodniczący WRN Stanisław Zgrzywa. Tłumy ludzi, także spoza Lublina. Autorem monumentu jest Jerzy Jarnuszkiewicz.

● W swojskiej scenerii skansenu lubelskiego i w sposób bezpretensjonalny zainaugurowano „Panoramę Kultury Czechosłowackiej” w naszym województwie (7 czerwca). W programie: odczyty o ochronie zabytków w CSRS i sytuacji w szkolnictwie, filmy, występy zespołów folklorystycznych, śpiewaczych i instrumentalnych oraz wystawa młodego malarstwa słowackiego (skromna) i ekspozycja fotografii o tematyce wiejskiej, autorstwa Mirosława Sychra — bardzo interesująca. Poza tym na kiermaszu w klubie „Masza” można było kupić płyty i książki czechosłowackie.

● 15 ha 20-letniego lasu iglastego splonęło koło miejscowości Toruń w woj. chełmskim. Gasilo kilkanaście jednostek straży pożarnej.

● Na zaproszenie Klubu Młodej Inteligencji w Zamościu śpiewała Ewa

Demarczyk, a zaraz potem rozpoczęło się VIII Zamojskie Lato Teatralne — spektaklem Molierego „Szelimostwa Skapena” w wykonaniu łódzkiego Teatru Nowego. W programie kilka interesujących pozycji, m. in. „Król Ubu” Teatru Stu.

● Podobno 60—70 proc. uczniów szkół Lubelszczyzny zetknęło się z „makiwarą”, „kompotem” i innymi narkotykami, które szczególnie wabią młodzież Lublina, Dębina, Puław i Świdnika, o czym wspomniamy w związku z powstaniem oddziału wojewódzkiego (pierwszego w kraju) Towarzystwa Zapobiegania Narkomanii. Jego prezesem został dr Zbigniew Gaś. Coraz częściej mówi się o potrzebie utworzenia ośrodka resocjalizacji osób, które uległy narkomanii.

● Radni MRN spotkali się na sesji poświęconej rewaloryzacji Starego Miasta, obejrzawszy uprzednio tę zabytkową dzielnicę Lublina. W podjętej uchwale wskazano m. in. na konieczność takiego wzmocnienia potencjału instytucji i przedsiębiorstw za-

angażowanych w roboty, by zakończenie całego przedsięwzięcia w ciągu lat 20 stało się realne. Dodajmy, że o dwudziestoletnim terminie szczęśliwego finału mówiło się już kilka lat temu.

● Od 6 do 10 czerwca czynna jest doroczna wystawa prac uczniów Państw. Liceum Sztuk Plastycznych w Nałęczowie (przy ul. Lipowej 30). Polecamy!

● Z żalobnej karty. 31 maja zmarł w wieku 58 lat Edward Fijałkowski, były długoletni prezes Zarządu Lubelskiej Spółdzielni Mieszkanowej, wybitny organizator ruchu spółdzielczego. Będzie nam go wszystkim w Lublinie bardzo brakowało.

4 czerwca w wieku 54 lat odszedł nagle Janusz Jasiński — leśnik z wykształcenia, człowiek autentycznie zaangażowany w sprawę ochrony przyrody, a przy tym pogodny, życzliwy ludziom, popularny w różnych środowiskach zawodowych Lublina (np. wśród dziennikarzy i artystów).

Wiedeń 1683

Na raunek Cesarstwu i Europie

Adam A. Witusik

W 1683 r. Turcja dla swych ekspansyjnych dążeń wykorzystwała niezadowolone ludności w podlegającej Habsburgom części terytorium węgierskiego. Nadużycia i samowola urzędników cesarskich oraz centralistyczno-absolutystyczne dążenia dworu wiedeńskiego od dawna już prowokowały Węgrów do wystąpienia przeciwko rządowi habsburskiemu. Emeryk Thököly, który stanął na czele powstania antyhabsburskiego na Węgrzech, wobec trudności tej walki w lipcu 1682 r. oddał kraj w lenno Turcji. Porta Otomańska chętnie skorzystała z pretekstu pomocy dla Węgrów i w roku następnym wysłała wielką armię przeciwko Cesarstwu. Punktem koncentracji tej armii był Belgrad. W drugiej połowie maja 1683 r. sultan Mehmed IV, dokonawszy przeglądu wojsk, wręczył wielkiemu wezyrowi Kara Mustafie paszy zielony sztandar Proroka i powierzył mu naczelną dowództwo. Wielki wezyr skierował swe kroki ku granicy austriackiej. 10 czerwca w obozie tureckim zjawił się Emeryk Thököly na czele powstańców węgierskich. W kilka dni później do maszerującej armii sultańskiej dołączyli jeszcze ze swymi wojskami: chan krymski Murad Gerej, gospodarz wołoski Serban Cantacuzino oraz gospodarz mołdawski Jerzy Duca. Początkowo cel strategiczny wyprawy, określony przez sultana, sprowadzał się do opanowania potężnej twierdzy austriackiej na Węgrzech — Jawarynu oraz zajęcia części Węgier podległych Habsburgom, które zamierzano przekazać Emerykowi Thökölyemu jako lennikowi. Jednakże butny Kara Mustafa pasza, dufny w potęgę prowadzonej przez siebie armii, rozszerzył samowolnie plan kampanii na zdobycie Wiednia i podbój całej Austrii.

oszczędzi się i nie pożałuje, lecz gwoli Allacha Najwyższego, który stworzył ziemię i niebiosy, a żadnych współników nie ma — wy sami będziecie wyrznięci, mienie wasze i zapasy żywności będą złupione, zaś wasze dzieci pójdą w jasyr".

Liczba obrońców oraz siła ogniowa, jaką dysponował Wiedeń, były zadowalające. Komendant obrony Wiednia, hrabia Ernest Rüdiger von Starbemberg, miał pod swymi rozkazami 11 000 wojska regularnego i 5000 milicji miejskiej. W mieście pozostało około 60 000 mieszkańców, którzy nie chcieli czy też nie mogli ratować się ucieczką. Na lewym brzegu Dunaju działał na czele jazdy naczelną wódz cesarski, książę Karol Lotaryński, były konkurent Sobieskiego do korony polskiej, starając się zachować armię turecką, póki nie nadejdzie odsiecz. Obrona Wiednia nie stanowiła łatwego zadania, mimo iż posiadał on dobre fortyfikacje, ponieważ nie postarano się o dostateczne zaopatrzenie miasta w żywność oraz nie ewakuowano zbędnej ludności cywilnej, co w wypadku przeciągającego się oblężenia mogło spowodować głód i wybuch epidemii.

Turcja, decydując się na wojnę z Austrią, sądziła — początkowo przynajmniej — że walczyć jej przypadnie jedynie z siłami cesarskimi, wspartymi co najwyżej nielicznymi posiłkami z Rzeszy Niemieckiej. Udział innych państw po stronie Austrii uważała za mało prawdopodobny. Rachuby jednak bardzo zawiodły, bowiem od 1 kwietnia 1683 r. Austria znajdowała się w przymierzu zaczepno-opornym z Polską.

Uderzenie Turków na Austrię i oblężenie przez nich w lipcu 1683 r. Wiednia stworzyły warunki, w których władze austriackie miały prawo domagać się w myśl zawartego sojuszu bezpośredniej pomocy wojsk polskich. Król Jan III Sobieski nie zamierzał uchylać się od wypełnienia obowiązku wynikającego z traktatu, zresztą uważał — i słusznie — że lepiej walczyć na obcym terytorium w połączeniu z siłami cesarskimi i posiłkami z Rzeszy Niemieckiej niż jak w poprzednich latach samotnie, narażając własny kraj na wyniszczenie przez przemarsze i kwatery wojsk, że wobec napiętych stosunków z Portą Otomańską wojna polsko-turecka będzie musiała wybuchnąć wcześniej czy później, a zdobycie przez Turków Wiednia i opanowanie przez nich całego Węgier wraz ze Słowacją stworzy poważne zagrożenie już nie tylko od południowego wschodu — od Kamieńca Podolskiego, lecz wzdłuż całej południowej granicy Rzeczypospolitej.

To w pełni jasne i najzupełniej zgodne z ówczesną polską racją stanu przeświadczenie o owych niebezpiecznych, jeśli nie wręcz katastrofalnych politycznie i wojskowo skutkach dla Rzeczypospolitej jej ewentualnej nieobecności pod Wiedniem — dyktowało Sobieskiemu wywiązanie się ze zobowiązań traktatowych i pójście z pomocą do stolicy habsburskiej. W liście do hetmana polskiego koronnego Mikołaja Sieniawskiego pisał Sobieski wyraźnie: „Lubo Wiedeń zginie, lubo się [sam] obroni, wszystko to nam nie na rękę będzie... bo lepiej w cudzej ziemi, o cudzym chlebie, w asystencji wszystkich sił Imperii... wojować, aniżeli samym się bronić o swym chlebie i kiedy nas jeszcze przyjaciele odstąpią, gdy im w takim razie prędkiego nie damy sukursu". Za pójściem na odsiecz Wiedniowi przemawiały i inne okoliczności. Pisał Sobieski: „Teraz... gdyby, strzeż Boże, cesarscy do tej przyjsz mieli desperacji, żeby na najniebezpieczniejszych nawet kondycjach z Turkami pogó-

pospiesznym opuszczeniu jej przez Leopolda I Habsburga, który przysłał błagalny list o pomoc. „Nie tyle oczekujemy wojsk WKMści, ile osoby Waszej, pewni, że osoba WKMści na czele naszych wojsk i imię Wasze, tak groźne dla wspólnych nieprzyjaciół, same zapewnią mu klęskę" — stwierdził cesarz.



Dragon i żołnierz chorągwi pancernej (XVII wiek).

Skoncentrowane w obozie pod Krakowem wojsko koronne wyruszyło jeszcze w sierpniu pospiesznym marszem w kierunku Wiednia. Z uwagi na groźne wieści spod Wiednia nie czekał monarcha na wojsko litewskie. W sumie — jak ustalił znawca przedmiotu Jan Wimmer — w odsiecz wzięło udział około 21 000 żołnierzy polskich, w tym część oddziałów, które dogoniły maszerującą pod Wiedeń armię. Dalsze 5000 późniejszych oraz około 10-tysięczna armia litewska dołączyły po odsieczy i uczestniczyły dopiero w działaniach wojennych na Słowacji. Wystawienie tej, jak na warunki siedemnastowieczne, dużej armii było możliwe dzięki posiadaniu przez Polskę sporym rezerwowi doświadczonych i bitnego żołnierza. Szeregi wypełnili przede wszystkim weterani z poprzednich wojen, wytrzymali na trudy i niedomogi, obyci w walce na białą broń. Wraz z młodymi, niezbyt jeszcze doświadczonymi, ale pełnymi zapалу i chęci walki ochotnikami tworzyli oni wojsko o dużej wartości bojowej.

Pod Wiedeń armia koronna posuwała się dwiema kolumnami: jedna, mniejsza, licząca 7000 jazdy, pod komendą hetmana polnego Sieniawskiego, szła drogą przez Bielsko, Cieszyn, Nowy Jičín, Hranice, Lipník i zadaniem jej było ubezpieczenie kolumny głównej przed ewentualnym atakiem od strony Węgier; druga, zasadnicza, pod dowództwem hetmana wielkiego Jabłonowskiego, maszerując przez Bytom, dotarła do Tarnowskich Gór. Tu przybył osobiście 21 sierpnia król Jan III Sobieski. Dokonawszy przeglądu zgromadzonych formacji, rozstał się z odprowadzającą go małżonką. Królowa Maria Kazimiera powróciła do Krakowa, zaś Sobieski wraz z wojskiem ruszył w kierunku Wiednia jeszcze tego samego dnia. Teraz trasa marszu wiodła przez Gliwice, Racibórz, Opawę, Olomuniec, Brno do Mikulowa na Morawach. Król na czele części jazdy wyprzedzał maszerującą kolumnę. Pod Mikulowem nastąpiło połączenie wojsk hetmana Jabłonowskiego z grupą Sieniawskiego i odtąd maszerowano razem.

„Ludzie tu nas wszędzie błogosławia, wnosząc ręce do Pana Boga za nami" — donosił król małżonce w liście spod Olomuńca. Naoczny świadek wydarzeń, francuski pamiętnikarz François Paul Dalerac zapisał: „Nigdy żaden monarcha nie spotkał się z tak dobitnymi wyrazami hołdu ze strony ludności państwa obcego, jak król polski ze strony poddanych cesarza". Zaopatrzenie wojska w żywność wyglądało raczej dobrze, zwłaszcza podczas przemarszu przez Śląsk i Morawy. Jeden z uczestników wyprawy zanotował w swym dzienniku: „Spod Krakowa ruszyło się wojsko na Tarnowskie Góry, Opawę i Olomuniec traktem ku Wiedniowi, gdzie prowianty obfite dla nas były nagotowane i magazyny założone, co cztery mile przez ziemię cesarską. Przy każdym magazynie była szopa budowana, pełna owsów, chleba ledwo nie prosto z pieca wyjętego, bydeł, baranów trzodami, sian strasznych stertami, piwa beczkami... Potem już ku Wiedniowi... nie mogli Niemcy wystarczyć nam dawać prowiantów, a to dla opustoszenia kraju przez inkursję tatarską".

Dokończenie na str. 11

kamena

3



Arkebuzer i towarzysz znaku lekkiego (XVII wiek).

Już 7 lipca 1683 r. w Wiedniu nie miano najmniejszej wątpliwości, że trzeba będzie spotkać się z nieprzyjacielem. Front zbliżał się nieuchronnie, wywołując w mieście niepokój i zdenerwowanie, by nie rzec — panikę. Każdy gorączkowo zastanawiał się nad sposobem ocalenia życia i majątku przed nadciągającym kataklizmem. Tego jeszcze dnia wieczorem cesarz Leopold I Habsburg wraz z żoną, dziećmi i dworem opuścił pospiesznie Wiedeń, udając się na zachód, wpraw do Linzu, następnie do Pasawy. W tydzień później, 14 lipca, 110-tysięczna armia turecka Kara Mustafy paszy stanęła pod Wiedniem i przystąpiła do oblężenia.

Wielki wezyr znalazłszy się pod murami miasta, pisał do oblężonych: „Na monarszy rozkaz najpotężniejszego z sultanów epoki i najwspanialszego chakana tych czasów... przybyliśmy z jego zwycięskimi wojskami, takimi, że ich ziemia nie zdoła pomieścić, pod zamek Wiedni z zamiarem zdobycia wspomnianego zamku... Jednakże wobec tego, w prawie pana rodu ludzkiego istnieje zasada: „Przed mieczem — propozycja islamu, proponujemy najpierw wam we własnych waszych osobach islam. Jeżeli staniecie się muzułmanami, będziecie ocaleni. Jeśli nie stając się nimi poddacie zamek bez walki, to zastосуjemy się w nim do przykazania Allacha: muzułmanizm z was ani wielmożom, bogatym ani biednym wyrządza nie będzie żadna krzywda — wszyscy będziecie żyć w bezpieczeństwie i pokoju. Każdemu z was, kto zapragnie wynieść się do innej jakiejś miejscowości, nie zadając gwałtu ani nie naruszając jego mienia lub zapasów żywności przyda się zaufanego człowieka i wyśle się go razem z żoną i rodziną oraz wyprawi go do upragnionej przezeń miejscowości. Ten zaś, kto zechce pozostać, będzie wraz ze swoim majątkiem i zapasami żywności wzięty w opiekę i pozostanie w spokoju na poprzednich warunkach. Natomiast jeśli się będziecie sprzeciwiali i stawiali opór wówczas z łaski Allacha Najwyższego zamek Wiedeń zostanie przemożną potęgą państwa zdobyty i opanowany, a wtedy ani jednej osoby nie



Rotmistrz kozacki, żołnierz piechoty węgierskiej i rotmistrz husarski (XVII wiek).

dzie się mieli, toby i Kraków i Polska w tym jeszcze roku w niebezpieczeństwie była i dlatego z wojskami naszymi dodać dacha cesarskim potrzeba".

Dwa dni po rozpoczęciu oblężenia Wiednia, 16 lipca 1683 r., Jan III Sobieski, przebywający podówczas w Wilanowie, otrzymał wiadomość o zbliżaniu się armii tureckiej do stolicy Cesarstwa i

Matura '83

Henryk Pająk

NOWY regulamin egzaminów maturalnych wywołał, jak było do przewidzenia, sporo zamieszania i dyskusji. Ożyły stare spory o istotę i kierunki nauczania średniego. Odnowiły się utyskiwania na drugorzędą rolę i miejsce literatury i języka polskiego w programie szkoły, zwłaszcza na tle przedmiotów ścisłych. Siegnięto ponownie do kanonu lektur — z pytaniem, kogo wyrzucić, kogo włączyć, jaką epokę okroić, jaką rozbudować? Nabral też rumieńców niedawny projekt połączenia egzaminów maturalnych z egzaminem na studia w jeden występ, decydujący o otrzymaniu świadectwa maturalnego oraz indeksu na wyższą uczelnię.

Na liście innowacji wprowadzonych do nowego regulaminu skrupulatni nauczyciele doliczyli się aż 55 pozycji, ale tylko kilka z nich niesie główny ciężar zmian. Są to: otrzymanie pozytywnej oceny z pracy pisemnej jako warunek dopuszczenia do „ustnego”; matematyka przestaje być obowiązującym przedmiotem na egzaminie; zniesienie udogodnień na egzaminie pisemnym w postaci dostępu do słowników i lektur; możliwość obniżenia całej matury po otrzymaniu oceny niedostatecznej z jakiegoś przedmiotu na egzaminie ustnym — jeśli uczeń w dwóch ostatnich klasach miał z tego przedmiotu tylko oceny dostateczne.

A zatem nagły akcent na język polski, rozumiany oczywiście jako całość literacko-językowa oraz zepchnięcie matematyki do roli przedmiotu równorzędnego z jakąś tam biologią czy językami obcymi.

Skąd te przesunięcia akcentów w hierarchii przedmiotów szkoły średniej? Jak je należy oceniać na tle dotychczasowego regulaminu maturalnego?

O odpowiedzi na te podstawowe pytania zwracałem się do samych nauczycieli, akurat uczestniczących w egzaminach ustnych i będących już po lekturach prac pisemnych. Mój wybór padł na panię profesorki z dwóch szkół: LO im. St. Staszica oraz LO im. Kopernika na LSM. Oto co zdałam zanotować z impresji trzech pań w liceum im. Staszica, którymi dzielili się dość pospiesznie, ale zdecydowanie i bez namysłu, prosząc przy tym „raczej” o niepodawanie nazwisk:

Zmiana przysłała po długim okresie ograniczenia języka polskiego jako przedmiotu szkolnego — nowy regulamin podnosi jego rangę. Po jego ogłoszeniu (zbyt późnym) zmienił się wyraźnie stosunek maturzystów do tego przedmiotu. Należy poszerzyć zakres literatury współczesnej przez zwiększenie liczby godzin języka polskiego w 4 klasie z czterech do pięciu, którą to godzinę odebrano w latach siedemdziesiątych na korzyść języków obcych. Jeden błąd ortograficzny, zmniejszający ocenę o jeden stopień, deprecjonuje całą pracę, choć wiadomo, że nawet sam nauczyciel czasem robi błędy ortograficzne. O przyjęciu na studia powinien rozstrzygać konkurs dyplomów maturalnych.

Połączenie matur z egzaminem wstępnym? To byłoby dobre: m.in. likwidowałyby przepaść między programem maturalnym a zakresem pytań na egzaminach wstępnych... Tegoroczne tematy pisemne były łatwe.

Od tych opinii niewiele różnią się oceny nauczycielek LO im. Kopernika. Mgr A. Barańska ze szczególną mocą akcentuje konieczność paralelnego nauczania historii Polski oraz historii literatury i języka polskiego. Nierozłączne są: dzieło historyczne dzieła literackie i dzieła literackie jako część historii narodu, jego kultury. Co do samego egzaminu: największą szkodę wyrządził językowi polskiemu poprzedni regulamin, zezwalający na korzystanie ze słowników, a zwłaszcza z głównych lektur. Przed egzaminem musiano znieść do sali stoły książek. Po ogłoszeniu tematów rozpoczęła się 5-godzinna nieprzerwana łazienka od ławek do stołów z lekturami, szepoty, konsultacje, hałas i komplementowanie pracy z paru fragmentów lektur. Uczeń wiedział, że takiego egzaminu nie może oblać. Powinno być pięć tematów pisemnych, a te-

mat ogólny powinien dotyczyć pogranicza literatury i współczesności, niekoniecznie literackiej. Zaostrzenie rygorów to zaledwie połowa, a właściwie ostatni odcinek drogi wiodącej do podniesienia rangi języka i literatury ojczystej — dowodzi mgr Barańska. Do tzw. klas profilowanych zabrano godzinę, w rezultacie język angielski ma bodaj pięć godzin tygodniowo, a polski cztery. W ubiegłym roku ze szkół podstawowych również zabrano jedną godzinę z języka polskiego. Gdy więc trzeba zwiększyć liczbę lekcji z jakiegoś innego przedmiotu, najpierw wzrok pada na polski.

Mgr H. Radolowicz: Jestem za pozostawieniem słowników. Niesprawiedliwe są zasady obniżania stopnia o jeden za błąd ortograficzny, a już absurdalny jest przelicznik: cztery błę-

dy, potem były, teraz znów nie ma. Kiedy skończą się te zmiany? Stwierdzamy, na podstawie już ocenionych prac, że nie mając słownika ortograficznego, maturzyści zrobili obecnie mniej błędów. Słownik osłabia ich uwagę, nie zmusza do szukania w pamięci synonimów dla zastąpienia wyrazu z pułapką ortograficzną. Generalnie jednak, błąd ortograficzny jest błędem i trzeba go jakoś pomścić, ale czy aż tak surowo? Słusznie, że wszyscy zdają polski i słusznie też, że w zaostrzonych rygorach. Literatura stawia fundamentalne problemy moralne, społeczne, patriotyczne, kulturowe; jej funkcja wychowawcza jest wszechstronna i rozstrzygająca o przyszłych postawach młodego człowieka... Aby te postawy kształtować, nauczycielowi potrzeba dopełnienia kilku warunków. Oto one, choć nie wszystkie: dostateczna liczba godzin, mniej liczne klasy (obecnie prawie po 40 uczniów), dostępność lektury — dotychczas trzej polscy nobliści są prawie niedostępni — oraz swoboda interpretacji tekstów ze strony nauczyciela, jak też prawo ucznia do własnych



Rys. Zygmunt Pylik

dy interpunkcyjne równają się jednemu ortograficznemu. W rezultacie mam prawo, a właściwie obowiązek, zdyskwalifikować nawet wspaniałą pracę pisemną za 12 przecinków! Tematy pisemne powinny być ustalone centralnie i podane np. o 8 rano przez radio (a gdy np. zabraknie prądu? — przyp. H.P.) — wtedy unikniemy przeróżnych „przecieków”. W „Życiu Literackim” z 3 maja br. jeden z nauczycieli stwierdza, że zmiana zasad egzaminów maturalnych jest połącznikiem, za którego pomocą pragnie się odwrócić uwagę społeczeństwa od braku dalekosiężnych koncepcji pedagogicznych. Nie zgadzam się z tą opinią, której zresztą sam autor przeczy w następnym zdaniu, stwierdzając, że zmiany te są w około 70 proc. słuszne. Jakież to mają być te dalekosiężne plany? Mówmy o konkretnych bolączkach.

Mgr Mitera i mgr Petkiewicz: Dotychczas bardzo wielu uczniów stawiało się tylko na pisemny — nauka o języku szła na daleki plan, czemu poddawali się także sami nauczyciele. Z pomocami na egzaminie bywało różnie: najpierw ich nie by-

ocen tekstów i problemów stawianych przez dzieła literackie...

Dzięki uprzejmości dyrektora szkoły, pozwolono mi posłuchać odpowiedzi na egzaminach ustnych, kolejno w obydwu komisjach egzaminacyjnych. W przeszłości bywałem po obydwu stronach stołu egzaminacyjnego — najpierw jako abiturient, potem jako nauczyciel. Po wspomnieniach i świetnych kanapkach z szynką, ciastkami i kawie (Komitet Rodzicielski — ocena bdb!) — powróciłem do rzeczywistości. Właśnie jeden z maturzystów znął się, czyniąc to z dużą kulturą i przygotowaniem, nad epoką romantyzmu, nad „postawą romantyczną”. Kordian u drzwi cara... I naraz jakiś chochlik każe mi rzucić pytanie, po uprzednim zezwoleniu przewodniczącego komisji:

— Nie wydaje ci się, że Kordian ma w sobie coś ze współczesnego terrorysty? Szytył, pistolet, bomba zegarowa — jaka różnica...

Lekka konsternacja po obydwu stronach stołu.

Maturzysta: — Nie... Kordian to patriota. Chce zabić ciemnotę. Zresztą salomuje się...

— Palestyńczycy lub Molukańczycy podrzucający bomby czy porywający samoloty to nie patrioci?

Długa przerwa.
— Możliwe, ale oni uderzają na ślepo.

— Lecz są podobnie bezsilni, a jednocześnie zdeterminowani, jak Kordian...

— Wszystko jest sprawą szans. Jeśli się nie ma szans, to po co zabijać? Temat był wyczerpany.

Traf chciał, że podczas mojej obecności jeden z maturzystów wyciągnął zestaw z pytaniem: „Rola prasy społeczno-literackiej”

Biedaczysko przypisał owej prasie szereg wzniosłych celów, m.in. kształtowanie opinii publicznej, informowanie o aktualnościach.

— Czy ta prasa jest autonomiczna? — rzuciła pytanie pani profesorka. Brak odpowiedzi. — Jaką rolę spełnia cenzura? — Brak odpowiedzi. — Jakie pismo czytałeś ostatnio? — „Politykę”, cenę w niej rozpiętość poglądów... Czytam „Radar” bo tam jest kącik poezji i mini-nowelki...

— A nasza lubelska prasa? — No, ja nie mam czasu na czytanie... Ale cenę „Poezję” za informacje o prądach w literaturze światowej.

No cóż — „Kamena” pozostała w tej rozmowie za burtą prądów światowych...

Wypowiedzi pań nauczycielek języka polskiego stanowią dość obszerny przegląd sytuacji tego przedmiotu w programie szkoły średniej. Nie pozostawiają też żadnych wątpliwości co do tego, że zaostrzenie rygorów egzaminu maturalnego podnosi rangę całego egzaminu, a zatem i wartość dyplomu maturalnego. Odsłaniają też główne bolączki. Wśród nich najważniejszą wydaje się atmosfera wiecznej tymczasowości, zmian w samym regulaminie, jak również doraźności ustaleń w sprawie liczby godzin nauczania polskiego w szkole (średniej i podstawowej), a nawet programów. A ponadto obok programu, liczącego już około 10 lat, obowiązuje nauczycieli dotąd nie odwołana dodatkowa „Instrukcja” do programu. W jej wstępie czytamy:

„Od roku szkolnego 1981/82 wprowadza się na okres przejściowy doraźne zmiany i uzupełnienia w programie nauczania języka polskiego w liceach i technikum, przy zachowaniu dotychczas obowiązujących podręczników”.

I dalej: „Instrukcję opracował zespół rzeczoznawców Sekcji Oświaty i Wychowania NSZZ „Solidarność” oraz Instytut Programów Szkolnych w składzie: Jan Błoński, Teresa Holzerowa...”

A, przepraszam, skoro tak, to niewątpliwie „Instrukcja” może mieć żywot krótki, tymczasowy, doraźny, choć, jako polonista i były nauczyciel, sam muszę przyznać, że daje ona nauczycielowi dużą swobodę w wyborze trafnie dobranych nazwisk i lektur z literatury współczesnej, co prawda — może z dyskusyjną listą nazwisk najnowszej poezji polskiej czy reportażu. Jest bowiem na tej liście m.in. Ewa Lipska i St. Barańczak w dziale poezji najnowszej, a H. Krall króluje reportażowi. Ale układali tę listę głównie J. Błoński i T. Holzerowa — zawsze pomni na konszule bliższą eiafu... Lista stanowi w sumie nie całkiem obiektywny przegląd sił w najnowszej literaturze polskiej i światowej, aczkolwiek maturzysta, idąc w świat z takim wiatykiem, może dość bezpiecznie udawać, przynajmniej przez parę lat, że coś tam wie o współczesności literackiej. Zasadnicza moja obawa dotyczy jedynie możliwości „przerobienia” tej listy przez nauczyciela w sytuacji okrojonego limitu godzin. A poza tym... dla niektórych nauczycieli poezja kończy się na Broniewskim i Różewiczu, powieść na Andrzejewskim, Brandyś, Dąbrowskiej (którą z kolei „Instrukcja” okroiła do „Nocy i dni”), dramat na Kruczkowskim, a znam i takiego polonistę, który błogie mu rejonu literatury średniowiecza opuszcza w porze kwitnienia kasztanów...

Do wspomnianej kwestii limitu godzin, programów i regulaminów dodać jeszcze trzeba pewną osobliwą tymczasowość, powiedziałbym nawet — przejściowość sytuacji samego nauczyciela, zwłaszcza języka polskiego. W obrębie tego zagadnienia nie ma jeszcze żadnej pisanej instrukcji, co nie oznacza, że któregoś dnia jakiś zespół ludzi, szczególnie tą sprawą zainteresowanych, nie skodyfikuje i tego delikatnego obszaru. Sami nauczyciele o tym już przebakują. Znaczą, że coś wiedzą.

Nie chcą być tak kochane

i tak podrywane...

Maria Pobóg

W „ROZMAITOSCIACH LWOWSKICH” z lutego 1833 roku odnotowano: „Dnia 15 bm. dana była po raz pierwszy w tutejszym teatrze polskim komedia w 5 aktach wierszem, napisana przez Aleksandra hr. Fredra, pod tytułem „Śluby panięskie” czyli „Magnetyzm serca”. Plód ten nowy naszego Moliere przyjęła z największym zapalem nader liczna publiczność i wszystkie zdania zgodziły się na to, że komedia ta, którą autor tak pięknie dramatyczną literaturę naszą ozdobił, należy do najcenniejszych jego utworów w tym zawodzie”.

Dziś, 150 lat od tamtej premiery, ta sama komedia „dana jest” w teatrze lubelskim. Kiedy na jednym z majowych spektakli śledziłam reakcje młodzieżowej widowni, narzuciło mi się pytanie, czy recepta na miłość serwowana w „Ślubah” może się na coś przydać pokoleniom wychowywanym dziś — bez herbów i szabli, w tak odmiennym od fredrowskiego klimacie obyczajowo-moralnym? Czy ta wdzięczna komedyjka o prościutkiej intrydze trafia do współczesnych nastolatków, czy też zaliczają „straszne działo”, bo pani polonistka i przywoitość tak każą?

Nazajutrz po spektaklu udało mi się zaimprovizować rozmowę na ten temat z grupką młodzieży jednego z lubelskich liceów. Liczą sobie po 17—18 lat. Dziewczeta noszą się długo lub krótko, chłopcom syją się włosy (na ogół blond). Wszyscy proszą o zachowanie incognito (!). Motywy tej próby niezapelniają się dla mnie zrozumiałe, ale dla nich istotne.

Już ze wstępnej wymiany zdań wynika, że z łatwością i trafnie oceniają sam spektakl, chociaż, jak twierdzą, nie należą do teatromanów: „Scenografia wypracowana w najmniejszych szczegółach, wszystko ma swój sens i urok — barokowe aniołki podtrzymujące herb szlachecki, wystetyzowane wnętrza salonu, barwa światła za oknem, przez które wraca do dworku po nocnej eskapadzie Gustaw”. Dziewczeta dostrzegają elegancję i styl strojów, chłopcy razi nadmiar kwiatów i „cukierkowość” przedstawienia. „Dobór aktorów — najlepszy, na jaki stać nasz teatr” — twierdzą moi rozmówcy. Zastrzeżenia budzi jedynie postać Albina: „Pan Sobiechart, który ma bardzo męską osobowość, nie nadaje się do roli zakochanego kota, lepszy byłby jako słodki brutal”. (Młoda dama w męskiej koszuli, która wypowiada tę opinię, zdaje się jednak być bywalczynią teatru).

Dalsza rozmowa koncentruje się na samym dramacie i fredrowskiej koncepcji zdobywania serc. Zapewne wypowiedziane sądy odbiegają od tych, na co dzień wypracowywanych w szkole i zbulwersują niejednego polonistę. Pozostają także w sprzecz-

ności z „Sekretami fredrowskimi” Wojciecha Natanson'a zamieszczonymi w programie teatralnym.

Dwa typy kochanka przeciwstawione sobie w „Ślubah” są w gruncie rzeczy „nie do przyjęcia dla zdrowo oceniającej życie dziewczyny”. Jeden to „plaksiwa niedojda”, drugi — „najzwyklejszy intrygant”, którego wciąga w miłosną grę nie tyle sama osobowość nadobnej Anieli, co intryga, którą osobiście przygotowuje. Czyny to w dodatku z wielką wprawą. Na jego usprawiedliwienie dodać jedynie należy, że on sam (mowa oczywiście o Gustawie) jest ofiarą kombinacji matrymonialnych swego stryja i obyczajowości, która łączyła dozgonnym węzłem herby i majątki. Młodzieniec pragnie osłodzić sobie i swej przyszłej małżonce kontrakt handlowy (dość dyskretnie utajony w dramacie) — zabawą w miłość.

Zaś obie dziewczynki: Aniela i Klara — jak złośliwie komentują współczesne pannie — tylko z obawy przed staropanieństwem, na wszelki wypadek, składają śluby panięskie i łamią je z wielką radością przy pierwszej nadarzającej się okazji. Oszukują same siebie, przysięgają „nienawidzieć ród męski, nigdy nie być żoną”, choć naprawdę marzą tylko o dobrym zamążpójściu. „Obludne, ale sympatyczne salonowe matki, którym pierwszy lepszy fircyk może zawrócić w głowie”. „Nie chcemy być ani tak kochane, ani tak podrywane jak Aniela i Klara. Jest w tym coś nienormalnego i niemoralnego. Gucio kłamie, kręci, szantażuje Klarę perspektywą jej małżeństwa ze starym Radostem i w efekcie Klara wychodzi za mąż ze strachu, wybierając mniejsze zło. To nie jest szczęśliwe zakończenie. To tragedia”.

„Jakież uczucia i sprawy łączyć mogą prowincjonalną gąską Anielę i „lampartującego” w karczmach lubelskich pięknego Gucia i jakie są rokowania dla tego stadła na przyszłość?” — tym retorycznym pytaniem Aniela 1983 kwestionują przyszłe szczęście bohaterów klasycznej komedii.

Postaci występujące w dramacie uważają za zbyt odległe w czasie i mentalności. „Kto dziś wie, kto to jest „stryj” i gdzie trafiają się takie dziwolągi? Wszyscy mężczyźni w tej komedii pozbawieni są męskich cech: cmokają się ciągle, rozczulają bez powodu, ściskają z wielkiej miłości bądź płacz”.

W swych opiniach moi młodzi rozmówcy zupełnie nieświadomie zbliżają się do zgryźliwej recenzji Boya z roku 1929 (przedstawienie w Teatrze Małym w Warszawie): „Klara wydała mi się gęsią, Anielą gąską, Albin młodym durniem, Radost starym durniem, Gustawa wystarczy lekko pokrobać, aby wylazł cham i brutal,



Rys. Zygmunt Pytlík

cała ta socjeta jest nudna i antypatyczna”.

„Czy w istocie to, co stworzył Fredro, jest zbliżone do prawdziwej atmosfery panującej w dworkach szlacheckich lat trzydziestych ubiegłego stulecia? — zadaje nieoczekiwane pytanie milczący początkowo młodzieniec. — Czy też jest to próba ucieczki od roku 1831 i jego dramatu, o którym Fredro nie mógł nie wiedzieć? Nie mogę zrozumieć, jak społeczeństwo ówczesne mogło bawić się salonową komedyjką, kiedy tysiące ludzi uchodziło z kraju po klęsce powstania, a w Warszawie budowano Cytadellę. „Śluby” zapewne mają duże wartości artystyczne, są zgrabnie zbudowane i może kiedyś śmieszyły bardziej niż dziś, ja jednak nie widzę w nich ani ideologii, ani walorów wychowawczych, nie są dla mnie ani śmieszne, ani ciekawe. To relikty przeszłości, klasyka, która nas dzisiaj ani nieźbi, ani grzeje. Po prostu jest i niech sobie będzie”.

Tak oto bardzo surowo ocenia nasza młodzież dzieło szanownego jubilata, który urodził się 190 lat temu. Zapewne dla uczczenia rocznicy tego wydarzenia teatr Juliusza Osterwy tak starannie, co przysięgają sami młodzi, przygotował fredrowski „Magnetyzm serca”. Szkoda tylko, że Fredro przestał być magnesem przyciągającym młodą publiczność...

„Na co i dlaczego chodzi się do teatru?” — pytałam nastolatków w czasie naszej dysputy. „Chodzi się na bilety zbiorowe, najchętniej na ranne spektakle, wtedy urywają się „godziny”. Niektórym opłaca się zapłacić za bilet i czmychnąć na piwo, ale to sporadyczne wypadki. Na ogół oglądamy lekturę dramatyczną z konieczności, a nie z wewnętrznej potrzeby. Zresztą to nie jest źle, lepiej się ogląda, niż czyta”.

Uważają więc, że ślęczenie w domu nad dramatem jest o wiele bardziej żmudne, no bo w końcu po to się pisze dramaty, aby je wystawiać na scenie. Przysięgają otwarcie, że na wieczorne przedstawienia z indywidualnej

potrzeby serca i umysłu chadzają bardzo rzadko. „Kino jest lepsze, ciekawsze, bliższe życia. Nawet jeśli pokazuje odległe epoki, nie traci myśłą”.

Na pytanie, dlaczego omijają teatr, co trzeba zrobić, aby stał się miejscem, do którego się chodzi z dziewczyną i samotnie, w deszcz i pogodę, odpowiadają, że w lubelskich warunkach to jest prawie niemożliwe. „Jeden teatr, który przez wiele tygodni wystawia to samo, a ile kin? I to z jakim repertuarem! Na scenie postacie sprzed stu albo i dwustu lat uwikłane w obce nam sytuacje ani do placzu, ani do śmiechu. Słowem — nie”. „Kto ma czas na to, aby nudzić się w teatrze?”

„Jeśli teatr ma być jakimś tam zwierciadłem — to przede wszystkim współczesności. Chcemy na scenie zobaczyć i przeżyć siebie, zrozumieć czasy, w których żyjemy”. „Niech to będzie coś, co nami wstrząśnie, poruszy, zmusi do krzyku lub śmiechu. To można robić także w oparciu o stare utwory, ale nowymi środkami wyrazu. W teatrze potrzebny nam śpiew, muzyka, życie, a nie stare dekoracje”. „Lublin powinien mieć 10 teatrów i 20 scen, wtedy moglibyśmy wybierać: raz „Dziady”, raz Fredrę, raz nas”.

Staralam się wysondować, czy jest coś, co chcieliby zobaczyć na scenie. Wbrew moim oczekiwaniom, padły dość szybkie i zdecydowane odpowiedzi: — „Ferdynand Gombrowicz, którą koleżanka widziała w Warszawie. To jest mocna rzecz o szkole, która ogłupia i upupia. Powinni to także zobaczyć nasi wychowawcy! I „Kordiana” — z Markłem Prażanowskim w roli głównej — koniecznie. Bo my, dziewczyny, najchętniej chodzimy na Marka. To jest indywidualność i ma aparycję. I głos. A najpiękniejszy był jako adiutant w „Maskaradzie”...

Być może te wypowiedzi stanowią jakąś wskazówkę dla budowania programów i metodyki nauczania historii literatury w naszej szkole.

Jubileusz cyrku

SZTUKA cyrkowa towarzyszy ludziom przez wieki, w Polsce zaś jej udokumentowana historia liczy 100 lat. Za moment zwrotny w dziejach rozwoju tej dziedziny sztuki w naszym kraju, artyści areny uważają datę 26 maja 1883 r. Odbiło się wtedy premierowe przedstawienie w nowo wybudowanym, przy ulicy Ordynackiej w Warszawie gmachu cyrku braci Cinselli. Był to pierwszy cyrk zawodowy na ziemiach polskich. Mimo, iż dyrektorem był Włoch, Gaetano Cinselli i występowało wielu artystów zagranicznych, wkrótce zaczęli tu dominować wykonawcy polscy.

Po pierwszej wojnie światowej cyrk przy Ordynackiej zmienił właściciela. Został nim w wyniku wygranej partii pokera Stanisław Mroczkowski, który zapytany o wystrój wnętrza chciał przewyższyć „panującą” poprzednio przez 40 lat dynastię Cinselli. Z jego rąk w 1928 r. przejął cyrk bracia Stanisławscy, którzy doprowadzili go do ponownego rozkwitu. Rozwój sztuki cyrkowej był wówczas znaczący nazwiskami, światowej sławy artystów, takich jak Cyganiewicz czy Pytliski. Bomba lotnicza w czasie oblężenia Warszawy we wrześniu 1939 r., zniszczyła budynek przy Ordynackiej.

W latach powojennych sztuka cyrkowa zyskała rangę działalności artystycznej. Mecnat państwa sprawił, że ludzie cyrku zdobyli pełne uprawnienia społeczne, jak urlop, emerytura itp. Podjęto działania w celu poprawy wyposażenia namiotów, wozów mieszkalnych i środków transportu. Wybudowana w 1931 r. baza techniczno-szkoleniowa w Julinku, gdzie po siedmiomiesięcznym sezonie naprawiany jest sprzęt, przygotowywane są nowe „numery” — stanowią przez wiele lat rozwiązanie modelowe wykorzystywane i rozwijane przez kraje socjalistyczne. Kształceniem artystów areny zajmuje się od 1967 r. pomaturalna Państwowa Szkoła Cyrkowa, nosząca obecnie nazwę Państwowego Studium Cyrkowego. Najnowszym sukcesem wychowanków tej szkoły jest srebrny medal na Festiwalu Młodych Talentów Artystycznych w Paryżu.

W 1956 r. odbył się w Warszawie I Międzynarodowy Festiwal Sztuki Cyrkowej. Obecnie polska sztuka cyrkowa jest reprezentowana we wszystkich krajach Europy, w Azji, Afryce, Ameryce.

Obraz sukcesów nie oznacza braku kłopotów. Nie najlepszy jest stan techniczny sprzętu i wyposażenia cyrków. Połowa namiotów nie nadaje się do dalszego użytkowania, większość wozów mieszkalnych wymaga remontu.

(tak)

Cyprian Kamil Norwid

POSAĞ I OBUWIE

1
Ateński szewc mówił do Rzeźbiarza,
Rozprawiając jakby Plato:
„Myślenie nie przez się nie utwarza,
Zabija czas!..” Rzeźbiarz jemu na to:
2
„O wieczności ja dlatego mówię,
Że pod dźwiękiem zwyciężają się chwile;
Posąg zwykle trwa lat dwakroć tyle,
Ile godzin trwa twoje obuwie!..”

LITOŚĆ

Gdy płyną łzy, chustką je ocierają;
Gdy kre w płynie, z gąbkami pośpieszają;
Ale gdy duch sęczy się pod uciskiem,
Nie naddbiegną pierwej z ręką szczerą,
Aż Bóg to otrze sam, piorunów błyskiem:
— Wtenczas dopiero!..

WAKACJE

Spotykam Wodza — pytam: „Jakie nowiny?
I co? się dzieje...”
On mi na to: „Epoka — zamknęła czynu
W czasów koleje:
Nie robi się nic...” To usłyszawszy, zбочę,
Szmurząc nieśmięle,
Ze coś, widać, są Wodze na dni robocze
I — na niedziele!

IRONIA

1
Zeby to można arcydzieło
Dłutem wyprowadzić z grubych brwi! —
I żeby dluto nie zgrzytnęło,
Ni młot je ustawnie bił a bit!..

2
Zeby to tchem samym harmonii
Można było kręcić wozów oś,
I bez s-krzypnięcia wstecz ironii
Zeby się udało zrobić coś...

3
Och! jakże spałby sobie człowiek,
Wyższy nad skargi ustawiczne,
Lecz cóż? — gdy jeszcze i u powiek
Roz-śledą się sny ironiczne!..

4
Uczucie zwiędza bez ironii
Szlaki bite cudzym cierpieniem,
Lecz kto był pierwej tam, wie o niej,
Ze jest — koniecznym bytu cieniem.

DO CZYTELNIKA

...poezja polska, wedle mojego uwa-
żania, znajduje się w krytycznej chwili.
Wielcy i słynni poprzednicy moi zaiste, że
jeżeli nie więcej, niż mogli, to dopełnili
wszystkiego, cokolwiek można było. Wsze-
lako: szkoła ta, cechująca się rozjaśnianiem
i wyrokowaniem w szerokich historycznych
sytuacjach lub o prawach narodu,
nie miała zapewne dosyć czasu, aby w utwo-
rach jej strona obowiązków, strona
moralna, znaczne zajmowała miejsce...

W ogóle literatury naszej moralności
zbyt szczupłym są zastępem dlatego, że poło-
żenie narodu daje więcej folgi głosom o
prawa wołającym niżli zajmującym się
obowiązkami.

Pisałem 1865

Cyprian Norwid

JĘZYK-OJCZYSTY

„Gronem bądymy pierw niżli grzotem,
Oto tętnią i rżą konie stepowe;
Górą czyny!.. a słowa? a myśli?.. — potem!
Wróg pokalał już i Ojców moję” —
Energumen tak krzyczał do Litnika
i uderzał w tarczę, aż się wygięła.
Litnik na to:
„Nie miecz, nie tarczę — bronią Języka,
Lecz — arcydziela!”

GRZECZNOŚĆ

1
Znalazłem się był raz w wielkim Chrześcijan natłoku,
Gdzie jest biuro łasek, płaszców i marek;
— Każdy za swój chwytal się zegarek,
Nie ufając bliźniej ręce i oku!..

2
Jeden tylko Mąż zwrócił moją uwagę:
Z przezornością albowiem szczególniejszą
Łączyl wdział i względność, i powagę,
W niczym od chrześcijańskiej nie zimniejszą —

3
„Któż jest? — pytam — tyle uprzejmy dla gości
Wśród podejrzewających się bliźnich owych?”

(Był to strażnik figur — woskowych
Z pobliskiego Muzeum — ciekawości!..)

TYMCZASEM

1
Pokolenia przechodzą,
Mając gdzie stawić nogę;
Jeśli lany ogrodzą
Zostawiają choć drope!

2
Przechodzą i Epoki,
A czas liczy się na nie,
Lecz moje dni — to odwołki,
Lata moje — czekanie...

3
Cóż się już nie wracało,
Odkąd na ten świat patrzę? —
Rzeczywistością całą
Jestże entracte w teatrze?

4
Życie — czy zgonu chwilką?
Młodość — czy dniem siwizny?
A Ojczyzna — czy tylko
Jest tragedią — ojczyzny?

OMYŁKA

Sukces bożkiem jest dziś — on czarnoksiężstwo
Swe rozwinął jak globu kartę;
Ustąpiło mu nawet i Zwycięstwo
Starożytnie — wiecznie coś warte!

Aż spostrzeże ten tłum u swej mogiły,
Aż obłądna ta spostrzeże zgraja:
Ze — Zwycięstwo wytrzeźwia
Gdy Sukces — i owszem... — rozpaja!..



Rysunki wykonane przez Norwida w 1846 ro-
ku w Ostendzie. Reprodukacja: CAF-Janowski

WYPRZEDZIŁ NAJZNAKOMITSZYCH...

23 maja minęło 100 lat od dnia śmierci Cypriana Kamila Norwida. Data ta włączona została przez UNESCO do międzynarodowych rocznic kulturalnych. W związku z rocznicą, dziennikarz PAP poprosił o wypowiedź wybitnego znawcę twórczości Norwida i edytora jego pism — Juliusza Wiktora Gomulickiego. Oświadczył on m.in.:

● Norwid to najwybitniejszy w dziejach dziewiętnastowiecznej poezji polskiej, a może i europejskiej, poeta myśliciel, dla którego umiał znaleźć nowatorską szatę formalną, wyprzedzając pod tym względem wielu najznakomitszych nawet pisarzy polskich i obcych.

Mistrz alegorii, paraboli i aluzji literackiej, znakomicie posługujący się również orzechem irwinii i paradoksu, wszystkie te środki ekspresji poetyckiej poświęcał postępowej moralistyce społecznej, która dzięki temu właśnie nie stawała się nudną homilią, ale podnosiła się do poziomu autentycznej i wysłanej liryki obywatelskiej. On jedyny również, spośród wielkiej czwórki poetów-romantyków (i on zaczął bowiem jako romantyk), nie zablakał się w mroki mesjanizmu i fowianizmu (jak Mickiewicz i Słowacki) i nie ugrzązł w trzęsawisku arystokratyczno-szlacheckiego konserwatyzmu (jak Krasiński), bystro dostrzegając nieuchronność „ogromnej społecznej Rewolucji”, chociaż nie zawsze zgadzał się z jej ówczesnymi reprezentantami. Wielki tolerant, potępiający wszelkie przejawy bezmyślnego nacjo-

nalizmu, a także rasizmu i fanatyzmu religijnego, pochylał czoło przed każdą autentyczną wielkością, bez względu na jej narodowość, rasę, sytuację społeczną, albo wyznanie. Sam nadzwyczaj dbający o swoją niezależność, twierdził bowiem, że „wszystko co samorodne, powinno być niezależne”, szczególną wagę przykładał do takich problemów społeczno-politycznych, jak praca oraz niewola. „Zadne się społeczeństwo nie ostoi — twierdził z głębokim przekonaniem — i żaden naród nie utrzyma, jak przez pracy harmonię tradycyjną powiązaną z sobą słowo ludu i słowo społeczeństwa w dwie strony się rozpręgna”. Poezja Norwida, pomimo całej swojej powagi, nie ograniczała się jednak do opiewania samych jedynie treści obywatelskich i miała swoją stronę intymną, nasyconą głębokim uczuciem, ale uczuciem wyrażonym z pewną we-

wnętrzną wstydlivością. Mylnie uważana za ciemną i niezrozumiałą, stale wszakże wymaga ona zarówno pewnego „kredytu”, jak i współpracy czytelnika, który tym więcej wyniesie z osobistego kontaktu z tą poezją, im więcej sam wniesie do jej uważnej i cierpliwiej lektury. „Opór rekojmia własności!” — można by powtórzyć za Norwidem.

● Ogólny nakład wszystkich utworów Norwida ogłoszonych w Polsce w latach 1947—1981 wyniósł 863 500 egzemplarzy, nie licząc małonakładowych edycji bibliofilskich. Otóż jubileuszowy Rok Norwidowski (1983—84) przyniesie ich w sumie ponad 500 000, co podniesie ów wspólny nakład do miliona czterystu tysięcy egzemplarzy i chyba już na dłuższy czas zaspokoi potrzeby bibliotek i czytelników prywatnych.

COKOLWIEK by mówić o Jurku Dostatnim, jedno nie ulega wątpliwości: był dziennikarzem z powołania. I nawet, kiedy już na starość zmantycał, gdy stał się przesadnie drobiazgowy i był nieraz, jako sekretarz redakcji „Kamienia”, trudny do wytrzymania — obstając często bezkrytycznie przy własnym punkcie widzenia i zacinając się we własnym uporze — nawet wtedy nie przestał nam, na swój sposób, imponować. Reprezentował typ dziennikarza „starej daty” ze wszystkimi dobrymi i złymi cechami tej profesji. Był nieustraszony w wynajdywaniu tematów, szybki w zbieraniu materiału i jeszcze szybszy w pisaniu, rzeczowy, odpowiedzialny za słowo oraz kochający — wierszówkę.

Z dawnych lat sekretarzowania w dziennikach i popołudniówkach pozostał mu nawyk codziennego przeglądania całych stert gazet i tygodników w poszukiwaniu jakiejś szczególnie atrakcyjnej „bomby”, którą można by natychmiast przykroić do potrzeb własnego pisma. Od rana rezydował za redakcyjnym biurkiem: szczupły, lekko przygarbiony, gładząc się co pewien czas po srebrzystej — a la Paderewski — czuprynie, błyskając szklami okularów, z nieodłączną szklaną cygarniczką między zębami i tkwiącą w niej połówką papierosa. Po skończeniu lektury pism krajowych Jurek zagłębiał się w płachtach „Le Monde’u”, a czytelniczą biesiadę kończył „Cinemon-dem” — francuskim tygodnikiem filmowym leższego autoramentu, pełnym kolorowych zdjęć aktorów i aktoreczek oraz panienek, które za wszelką cenę chciałyby zostać gwiazdami filmowymi.

Poza tym był nasz sekretarz redakcji przykładowym mężem, ojcem dwóch córek studiujących medycynę i farmację, zawody stateczne i zapewniające na całe życie kawałek chleba z masłem, nie to, co wieczna niepewność dziennikarskiego bytowania... Miał wreszcie Jurek Dostatni jedno nie zrealizowane nigdy marzenie: żeby młodzi koledzy choć jeden raz „skoczyli” dla niego po papierosy do najbliższego kiosku. Tak jak on, w czasach dziennikarskiej młodości, zmuszony był „skakać” dla swego redakcyjnego pryncypała. Niestety, pod tym względem okazywali się, wszyscy razem i każdy z osobna, bezwzględnie nieugięci.

*

Przed wojną Jurek Dostatni pracował jako całkiem jeszcze młody dziennikarz w warszawskich sensacyjnych „czerwoniakach”, wchodzących w skład koncernu „Dom Prasy” założonego przez Henryka Butkiewicza i Antoniego Lewandowskiego. Trafił tam prosto z Wyższej Szkoły Dziennikarskiej przy Uniwersytecie Warszawskim, porzucając uprzednio studia polonistyczne na uniwersytecie w Poznaniu. Dlatego też później, aż do końca życia, nad sposobem patrzenia Jurka na istotę dziennikarstwa, publicystyki, reportażu — oraz w ogóle redagowania czy to gazety, czy periodyku — ciążyły pierwsze życiowe doświadczenia wyniesione z popołudniowych „rewolwerówek”. Prowadziło to nieraz w „Kamieniu” do gorących starć i nieporozumień pomiędzy sekretarzem redakcji a młodszymi pracownikami.

Od 1934 do 1939 r. Jurek tkwił jako tzw. „pistolet” w dziale miejskim najbardziej operatywnej wśród „czerwoniaków” redakcji: „Dobry Włeczo — Kurier Czerwony”. Była to gazeta bijąca na łeb wszystkie inne podobne pisma; tuż przed wojną jej nakład dochodził do stu tysięcy egzemplarzy (na owe czasy liczba zawrotna), poczytność zyskała dzięki sensacyjnym wiadomościom i oliekającym od krwi, drukowanym — słusznie! — czerwona farbą, tytułom. Gdy po latach Jurek wpadał czasem w rzewny nastrój, wspominał prawie ze łzami w oczach, jak to raz dostał 10 złotych nagrody za wymyślony przez siebie tytuł na pierwszej stronie „Kuriera Czerwonego”: „Upior-na podróż potwornego mordercy w tak-sówce śmierci z trupem za plecami...”

Za pięćsetzłotową pensję, oraz przyznawane od czasu do czasu „extra” dodatki za szczególną operatywność, musiał redaktor działu miejskiego w przedwojennej popołudniówce być stale „do dyspozycji”. Nie miał „normy” wierszówkowej, tylko pensję miesięczną; musiał być wciąż aktywny, zarzucać redakcję atrakcyjnymi materiałami. Jeżeli przestawał być aktywny, rezygnowano z jego usług. Gdy do Polski przyleciał zdobywca Atlantyku — słynny amerykański pilot Lindbergh, — Jurek przebiegał się za celnika, żeby dościsnąć się do bohatera przed innymi dziennikarzami dokonując cudów podmyślowości, aby otrzymać wywiad od

przybyłej do Warszawy królowej Holandii, od następcy tronu Jugosławii, od ministra spraw zagranicznych Francji... Zapisał się do Klubu Dziennikarzy Lotniczych, bo w ten sposób mógł łatwiej dotrzeć do Zwirki i Wigury, Skarżyńskiego, Orlińskiego, Burzyńskiego — asów polskiego lotnictwa. Wreszcie — o mały włos nie postradał życia, pakując się do kabiny samolotu sportowego prowadzonego przez swego kolegę po fachu — Stanisława Strumph-Wojtkiewicza.

Strumph-Wojtkiewicz, któremu nigdy nie zbywa na fantazji i pewności siebie, tak oto opisuje spotkanie z Jurkiem w swej wspomnieniowej książce pt. „O własnych siłach”:

„Za mają mnie za lotnika, ale nie bez pewnego przynurzenia oka, przekonaniem się podczas odprawy poprzedzającej wielki zlot

lotnictwa sportowego w Gdyni. [...] Ludzie wstawili, nazwiska padały, ten chciałby (lecieć jako obserwator — MD) z tym, a tamten z owym, a ja siedziałem coraz bardziej smutny i osowiały. Wtem uratował mnie początkujący dziennikarz z tzw. „prasy czerwonej”, nazwiskiem, zdaje się, Dostatni. Kiedy przysła na niego koleję, wstał, zacerzowił się i niemal groźnie oświadczył:

— Jako przedstawiciel „Expressu” i „Kuriera Czerwonego” stanowczo proszę przydzielić mnie na samolot pilotowany przez redaktora Strumph-Wojtkiewicza. [...] To jest stanowcze żądanie całego naszego koncernu. W razie sprzeciwu zwołujemy imprezę. Oświadczam to w porozumieniu z wydawcami!”

Jurek, po latach, wspominał ten incydent w sposób następujący:

„W sierpniu 1939 r. odbywał się w Gdyni zlot samolotów sportowych. Były to samoloty typu RWD i PZL. Miałem lecieć jako obserwator w RWD. Wylosowałem niezwykłego pilota — głośnego dzisiaj pisarza Strumph-Wojtkiewicza, który jako pierwszy dziennikarz przed wojną zdobył dyplom lotnika cywilnego. Mój starszy kolega znany był w naszym gronie ze swojej... nadnerwowości, czego dowodem był m.in. rozbity wcześniej samochód. Ponieważ zaś mieliśmy lecieć bez spadochronów, zastanawiałem się poważnie, czy nie zrezygnować z lotu. Ostatecznie jednak polecieliśmy i pomijając fakt, że w Gdyni nie mogliśmy znaleźć lotniska, na które skierowały nas dopiero wykwitujące przed nosem salwy (ślepe) ostrzegawcze artylerii przedlotniczej, wszystko odbyło się w porządku”.

I wierz tu, człowieku, dziennikarzem...!

W czasie owego lotu Strumph-Wojtkiewicz o mało nie zderzył się nad Kościerzyną z niemieckim bombowcem, który tendencyjnie naruszył polski obszar powietrzny. Nic zresztą dziwnego: miało się ku wojnie. W miesiąc później z podobnego samolotu spadły bomby na pluton jednego z Robotniczych Batalionów Obrony Warszawy maszerujący pod dowództwem Jurka Dostatniego do okopów na Żoliborzu...

*

Lublin poznał Jurek w latach okupacji. Przyjeżdżał tu najpierw jako „prywatny przedsiębiorca” zajmujący się handlem cukierkami, a potem jako pracownik znanego warszawskiego domu handlowego „Bracia Pakulscy”. Nigdy nie przypuszczał, że w przyszłości tutaj właśnie osiadzie na stałe, i że w Lublinie spędzi ostatnich trzydzieści lat życia. Chociaż urodził się nad Wartą, gimnazjum ukończył w Srodzie Wielkopolskiej i był w każdym calu — z charakteru i zamiłowania do oszczędności — „Poznaniakiem”, uważał się za dziennikarza warszawskiego i z Warszawy chciał łączyć zawsze swoje losy. Ale przypadki chodzą po ludziach.

We wrześniu 1939 r. Jurek siedząc w żoliborskich okopach, znajdował czas na wydawanie powielaczowego „Biuletynu Batalionów Robotniczych Obrony Warszawy”. Po kapitulacji, w pierwszym okresie okupacji był jednym z redaktorów podziemnej „Rzeczypospolitej”. W 1944 r., w okresie Powstania Warszawskiego, po krótkim pobycie w powstańczych oddziałach bojowych, porucznik Armii Krajowej Jerzy Dostatni

wruchomł niewielką drukarnię „Leth” przy ulicy Koszykowej 33, własność Aleksandra Niedolińska. I tam, wraz z Jerzym Gembickim, Stanisławem Lipińskim i Stanisławem Garzdeckim, zaczął wydawać pismo „Barykada”. Owa „Barykada” usytuowana była — nomen omen — istotnie niemal na barykadach Warszawy, jako że linia frontu przebiegała w odległości 150 metrów, a stojący tam budynek ambasady czechosłowackiej przechodził kilkakrotnie z rąk do rąk walczących Polaków i Niemców. Wspomina drukarnię „Barykada” oraz Jurka Dostatniego autor książki „W tajnych drukarniach Warszawy 1939—1944” Michał Wojewódzki, redaktor „Biuletynu Informacyjnego”. M.in. opisuje on następujący incydent:

„Otrzymałem rozkaz [w pierwszych dniach września 1944 — MD] objęcia drukarni przy

prasie periodycznej i dlatego, na przykład, w „Kamieniu”, my, młodzi pracownicy, toczyliśmy z Jurkiem nie kończącą się walkę „o pryncypia”. Górował natomiast zawsze nad nami bezdyskusyjnie znajomością warsztatu dziennikarskiego, umiejętnością przekazywania materiału w sposób skondensowany, logiczny i celny. Posiadał też umiejętność skręcania artykułów. Sęk jedynie w tym, że rznął bez pardonu zarówno wszelkiego rodzaju „dłużyzny” jak również, niestety, te partie materiału, które stanowiły o literackości czy refleksyjności reportażu, artykułu lub recenzji.

Sam zajmował się w „Kamieniu” publicystyką ekonomiczną oraz budowlaną, gdzie, istotnie, liczył się konkretnie i tylko konkretnie, i zupełnie nie mógł zrozumieć „dużych westchnień” mło-

SRODOWISKO LUBELSKIE (9)

Zawód: dziennikarz

Mirosław Derecki



ulicy Koszykowej 33. [...] Miałem natychmiast poczynić przygotowania do druku następnego numeru „Biuletynu Informacyjnego”. [...] Przy wstępnych pracach [...] doszło do zabawnego, ale jakże charakterystycznego incydentu. Oto jeden z przedstawicieli redakcji „Barykady” zrobił mi awanturę i oświadczył, że w pierwszej kolejności i przede wszystkim musi być drukowane ich pismo: a później — jeśli czas pozwoli — będę mógł robić „moje” pismo. Próbowałem spokojnie wytłumaczyć, że przecież „Biuletyn Informacyjny” jest oficjalnym organem AK, ukazującym się bez przerwy od listopada 1939 r., i nie można sobie nawet wyobrazić, aby druk „Barykady” — pisma założonego dopiero podczas powstania — mógł przeszkodzić produkcji „Biuletynu Informacyjnego”. Przedstawiciel „Barykady” nie chciał jednak nawet słuchać. [...] W końcu, oczywiście, przedstawiciele „Barykady” zastosowali się do zaproponowanego przeze mnie harmonogramu pracy i dziwny spór został zażegnany”.

Znając charakter oraz upór Jurka Dostatniego, nie zdziwiłbym się wcale, gdyby to on był owym apodyktycznym i bezkompromisowym „przedstawicielem” redakcji „Barykady”...

Po upadku Powstania Warszawskiego porucznik Dostatni przemarszował, jako jeniec wojenny 500 kilometrów — przez obozy przejściowe w Lambinowicach i Dobiegniewie — do obozu w Lubce. Tam zastał go koniec wojny. Natychmiast po wyzwoleniu zajął się organizowaniem i wydawaniem powielaczowego „Biuletynu” Związku Polaków w Kilonii. Organizował także grupy Polaków powracających do kraju, i po kilku miesiącach również on sam, na pokładzie statku „Preussen”, dopłynął w ostatnich dniach grudnia 1945 r. do Gdyni. Zoną z córeczką Danusią, urodzoną w 1944 roku, odnalazł za biurkiem sekretarza redakcji, wychodzącego w Inowrocławiu pepecowskie-go „Robotnika Kujawskiego”.

*

Powojenne losy Jerzego Dostatniego pokrywają się z mapą wędrówek milionów Polaków szukających swojego miejsca w nowych granicach państwa, i swojego miejsca w nowym ustroju... Po „Robotniku Kujawskim” — „Robotnik Szczeciński”. Potem — „Naprzód Dolnośląski”, „Wrocławski Kurier Ilustrowany”, gdzie był zastępcą redaktora naczelnego. Następnie — „Gazeta Poznańska” i stanowisko sekretarza redakcji. I wreszcie: lubelski „Sztandar Ludu”.

Dostatni przyjeżdża do Lublina w 1949 r., obejmuje sekretariat redakcji, zamieszkuje na parterze willi przy ulicy Norwida pod numerem trzecim. W pokojach stają ciężkie meble z czarnego dębu przywiezione z kolejnych mieszkań. Koniec wędrówki.

Jurek wyznawał starą, przedwojenną zasadę redaktorów prasy codziennej, że dobry dziennikarz powinien być tzw. „omnibusem”. To znaczy — musi umieć pisać szybko i na każdy temat. Niezależnie od tego, czy to będzie recenzja teatralna, felieton sportowy, czy też artykuł ekonomiczny lub społeczno-polityczny. To, co było jednak dobre w prasie codziennej, stawało się nie do przyjęcia w wyspecjalizowanej

dych dziennikarza. Miał też wyniesione z popołudniówek kryteria oceny jakości: „Sześć stron maszynopisu — dobry materiał; siedem stron — zły materiał”. Najwięcej cierpiał na tym kolega Romuald Wiśniewski, który nie schodził w swoich reportażach poniżej trzy-nastu stron, pisząc je zresztą zawsze w ostatniej chwili, na brzegu biurka, i pokrzykując: „Już kończę, panie Jerzy, już kończę przepisywać!!!”. A tymczasem Dostatni pierwsze napisane przez Romka strony ciął już nie-miłosiernie.

Bywał Jerzy Dostatni czasem przykry oraz przekonany zbyt o własnej nieomyślności. Ale czy trudno mu się dziwić? W czasach powojennych był w niektórych redakcjach jedynym dziennikarzem z prawdziwego zdarzenia. Wśród „redaktorów” przeważali albo dziennikarze „z awansu”, albo zupełnie nieporadne żółtodzioby. To przecież nie gdzie indziej, jak właśnie w „Sztandarze Ludu” za czasów kadencji Jurka, jeden z takich dziennikarzy machnął od ręki następującą informację:

„Siewy w Zamojskiem rozpoczęte. Pierwszy na pola we wsi... wyszedł malarz-rolnik aktywista Bartłomiej Krupa i własnym nasieniem [sic!] obsiał dwa i pół hektara”!

Wykończyła Jurka w 1951 r. wszechwładna wówczas Sara Nomberg-Przytyk, zastępca redaktora naczelnego „Sztandaru Ludu”. Może za to, że był oficerem Armii Krajowej. Może za to, że w każdą niedzielę, z żoną i córkami, chodził na mszę do kościoła. Może dlatego, że miał swoje własne zdanie, którego nigdy nie chciał zmieniać. Lub z tych wszystkich powodów łącznie.

Sara potem zerwała z komunizmem i wyjechała do Izraela. Jurek pracował jeszcze przez wiele lat jako dziennikarz i został pochowany w Polsce, na lubelskim cmentarzu, i ksiądz pokropił jego trumnę...

Ale wówczas, w 1951 r. musiał odejść. Zwolniony z dnia na dzień, bez podania powodów. Dopiero w 1956 r. został w pełni zrehabilitowany, otrzymał z Zarządu Głównego RSW „Prasa” anulowanie zwolnienia, „jako niesłuszny i krzywdzący”.

W 1959 r., po ośmiu latach pracodawanych w lubelskiej „Przemysłowce” jako urzędnik, wrócił red. Jerzy Dostatni do dziennikarstwa. Rozpoczął pracę jako kierownik działu miejskiego w „Kurierze Lubelskim”. W 1966 r. objął w „Kamieniu” stanowisko sekretarza redakcji.

Umarł pięć lat temu, 25 czerwca 1978 r., wkrótce po przejściu na emeryturę.

Zycie miało nielatte. Było to życie polskiego dziennikarza wypełnione pracą, wędrówkami po kraju i po obczyźnie. A także — walką o zachowanie godności własnej i godności zawodu, który reprezentował.

JAKŻE ciekawymi ludźmi byli moi sąsiedzi! Mieszkałem w tej kamienicy zaledwie od kilku miesięcy, a już po trosze zdążyłem się przyjrzeć każdemu z nich. Nie, żebym chciał wywlekać ich wady, słabości. Broń Boże! Ale tak po prostu z przypadkowych spotkań, z bezwiednej ciekawości, w chwilach wolnych od zajęć, zbierałem sobie co nieco szczegółów. Ot, choćby pani naczelnikowa. Kobieta jeszcze nie stara, ale już i nie pierwszej młodości, spotykana przeze mnie na schodach, na podwórku, w bramie. I za każdym razem tak samo wyniosła, tak dumna tym swoim poczuciem kobiety ambitnej i znającej wartość tytułu przypadającego jej z racji bycia żoną owego naczelnika. Ale ja zawsze będę przyznawał jej rację. Będę broił jej prawa do zasłużonej dumy. Mąż pracowity, uczciwy w miarę, dał jej możliwość wejścia w stan posiadania — oprócz innych przywilejów — także tej lekkiej wyniosłości ponad przeciętność, ponad stan, w którym żyłem ja i wielu do mnie podobnych.

Nie tylko naczelnikowa była tak uprzywilejowana. Sąsiad z drugiego piętra również mi się nie kłaniał, ani odklaniał. Nawet wtedy, gdy uklon ponawiałem kilkakrotnie. I nigdy się nie zapomniał! Solidny człowiek! Z drugiej strony zaczynało mnie to ostatnimi czasami nużyć. Nawet po cichu knulem maleńki spisek. Postanowiłem, że od najbliższej niedzieli i ja przestanę się kłaniać panu Z., co wprowadzi trochę urozmańcenia w nasze stałe spotkania sąsiedzkie. Przyszanam się szczerze, że nie spełniłem swoich planów, bo mimo wszystko, gdy tylko sobie o tym pomyślałem, zawsze czułem się nieswojo.

— Jakże tak — myślałem — mógłbym nie kłaniać się panu Z.?

I w dalszym ciągu składałem jednostronne uklony przy naszych spotkaniach.

Nade mną mieszkali małżonkowie J. Była to rodzina typowo kupiecka. Prowadzili sklep z galanterią. Sądząc ze sposobu bycia, interes świetnie prosperował i sprawiał, że państwo J. zawsze mieli dobre humory. Pan J. nawet w czasie rodzinnych kłótni śmiał się, okładając żonę czym popadło, za co ona odwzajemniała mu z nawiązką i z chichotem jeszcze donośniej — rzekłbym: histerycznym.

Poza tym wszyscy ci sąsiedzi zdawali się być najzwyczajniejszymi ludźmi, pełnymi wewnętrznych pragnień, celów i ambicji. Byli jednak bogatsi ode mnie i nie wypada tu porównywać mojej postaci do solidnych mieszczan, z dziada pradziada dzierzących stopień stanowy, rodowo spiętych korzeniami tradycji i latami przeżytych w tej kamienicy. Tak! Tak! Czuli się szlachetniejsi ode mnie, z czym musiałem się pogodzić. Jednak mimo to byłem szczęśliwy i pełen nadziei na lepsze w mym cokolwiek szarawym życiu.

Codziennie budziłem się pełen optymizmu. Brałem siałkę na zakupy i maszerowałem dziarsko do sklepu nabiałowego. Potem jadłem śniadanie. Prace zlecone stanowiły podstawę utrzymywania skromnego pokoiku sublokatorskiego. Czasami z zarobionych pieniędzy zostawało co nieco na papierosy i gazetę.

Moich skłonności nie ma co ukrywać. Lubilem politykę. Gazeta okazała się najtańszym środkiem w jej zgłębianiu. Wychodziłem po nią pełen niecierpliwego podniecenia, jakbym chciał zarazem odpowiedzieć sobie na pytania: co u licha knuje wiceminister T.?, albo: jak długo będą terroryzować dyrektora banku w K.? Mijałem róg sąsiedniego domu i wychodziłem na ulicę Wiktoriańską. Po drugiej stronie stał kiosk, a w nim konkretna odpowiedź na nurtujące mnie pytania.

Tam, daleko, ludzie mordowali się w ramach równouprawnienia, lub chęci zysku i władzy. A ja byłem temu przeciwny. Być może nikomu z nich nie zależało na moim słowie. Ale mnie zależało! I to bardzo! Więc w domu, po pracy, protestowałem. Protestowałem przeciwko wojnom, przeciwko złodziejstwu i napadom, wyzyskowi i zamachom stanu, protestowałem, protestowałem, protestowałem... Dobrze umiałem protestować! Ile w moim sprzeciwie było energii, ognia, współczucia dla biednych, pokrzywdzonych i samotnych. Nikt z sąsiadów nie

mógł mi dorównać. Przynajmniej w tym byłem lepszy od nich!

Takie to emocje przeżywałem, kiedy czytałem. Idąc ciągle tą samą drogą po gazetę, spotykałem siedzącego na podmurówce jednej z sąsiednich kamienic, i ciągle w tym samym miejscu, człowieka. Był bardzo stary i drobnej budowy ciała. Czasami coś jadł, przeżuwał w bezręcznych dźwiękach długi i cierpliwie. Innym razem palił papierosa, którym częstował go od czasu do czasu jakiś przechodzień. Ja, w miarę swoich możliwości, oddawałem mu część „sportów”, za co był mi niezmiernie wdzięczny. Mijałem go z uśmiechem, on odwzajemniał się nim również.

Któregoś dnia obudził mnie wiatr i deszcz tłukący w okno. Wstałem i wyjrzałem na podwórko. Pogoda była pod psym. Ale musiałem wyjść po prasę. Nie mogłem się wyzbyć tej jedynej przyjemności. Przebiegłem kolo do-

— Przepraszam — zaczął rozmowę młody człowiek, na oko dość stanowczy — pan tu od dawna?

Dziadek poruszył się pokornie i bezradnie, zwiędłe usta rozchyliły się bezgłośnie.

— Zapali pan? — mój sąsiad, pan J. wyciągnął paczkę papierosów w jego stronę.

Człowiek na murku uśmiechnął się jeszcze żałośnie.

— Dziadku! — tłusta baba z targu wrzała mu w ucho — głodniacie!

Tym razem staruszek zastąpił się, jak przed uderzeniem. Ale siedział niestrudzenie na podmurówce.

— Nie wzięłyby go pan do siebie? — zasugerował zasadniczy pan Z. obrotnemu panu J.

Zauważyłem, że nadeszła naczelnikowa. Tym razem, po raz pierwszy, nie ponowilem uklonu. O dziwo! To ona mi się ukloniła! Ze zdziwienia nie odpowiedziałem, co wywołało na jej

coś mi szeptało, żeby nagle wyjść na środek i krzyknąć wielkim głosem:

— Protestuję!!!

W końcu ludzie zaczęli się rozchodzić. I ja wkrótce wróciłem do swojego pokoiku. Tym razem nie zapomniałem człowieka, o którego tak wielu się zatroszczyło. Z jego też powodu nie mogłem zasnąć tej nocy. Następnego dnia nie wyszedłem z domu. Dopiero brak chleba zmusił mnie do przejścia obok niego. Chcąc nie chcąc, przystanąłem.

Wielu rzeczy na tym świecie nie rozumiałem — to prawda. Nie starałem się też wielu z nich pojąć, bo było ich za dużo, jak na jedno skromne życie. To, co zobaczyłem, nie zdziwiło mnie, ale napelniło mieszanymi uczuciami. Zdanie się na siły nieczyście byłoby w tym momencie wyjściem najwygodniejszym. Miałem przypisać szatanowi to, co zobaczyłem? Ujrzałem staruszkę siedzącą nadal na swoim miejscu. Nowe i zadziwiające było jednak to, iż część tułowia znikła w murze, wglębiała się w cegłę, jakby się z nią zespalała. Jak organizm biologiczny mógł sobie poradzić z zimnym i martwym kamieniem? Zaalarmowałem władze dzielnicę.

Wkrótce przybył specjalista. Profesor światowej sławy obejrzał przypadek i nie znalazł żadnego rozwiązania. Dziadek, jakby na ironię, zagłębił się o kolejne centymetry w zimny kamień i cegłę. Jego twarz raz przybierała wyraz najwyższego zdenerwowania, jakby chciał powiedzieć, że bezradność ludzka nie zna granic, to znowu powlekała się złośliwym uśmiechem, zwłaszcza w chwilach wyraźniejszego wysysania słabego ciała przez zachłanny mur. Człowiek ten uważał mnie zapewne za najbardziej znajomego i przyjaznego mu z ludzi. Zdawało mi się, że właśnie ode mnie oczekuje ratunku. Tymczasem patrzyłem bezradnie jak każdej doby znajomy-niezajomy zagłębia się i zanika o dalsze trzy i pół centymetra.

A w mieście wydarzenia kolejnych dni były już tylko następstwem tego, co wszyscy zobaczyli i odczuli w przeciągu minionych popołudni na ulicy Wiktoriańskiej. Najpierw zawiązał się komitet organizacyjny, solidaryzujący się z nieszczęśliwym. Ulicą przechodziły manifestacje w tę i w tamtą stronę, od rana do wieczora. Wołano o natychmiastowy ratunek dla niego, opiekę i wyżywienie. Żądano wielu rzeczy. Na przykład zmiany kilku ministrów i działaczy najwyższego szczebla. Przy okazji postulowano emancypację kobiet, zniesienie wytwórni win wysokogatunkowych oraz założenie domów publicznych. Tymczasem staruszek siedział, tkwił coraz głębiej i nic nie zapowiadało jego uratowania.

Nasze miasteczko zaczynało stawać się sławne. Któregoś dnia przybył do nas nawet przedstawiciel ONZ-u. Na moment nowe nadzieje wstąpiły w serca mieszkańców, a zwłaszcza dziadka. Dostojny gość postąpił chwilę przed siedzącym, jakby mu składał w ten sposób hold. Potem kazał zrobić sobie z nim kilka kolorowych zdjęć, wygłosił przemówienie w dialekcie afrykańskiego szczepu mობodo i wyjechał, tłumacząc się innymi i nie mniej ważnymi obowiązkami, które go wzywają. Kiedy więc i ta nadzieja się oddaliła, dziadek tak się zdenerwował, iż zagłębił się od razu o całe dwadzieścia centymetrów.

Był szary, listopadowy dzień. Na dachach osiadł szron. Ludzie porzucili się do ciepłych domów. Nie wielu z nich koczowało przy człowieku w murze, a właściwie przy jego coraz mniej widocznych resztkach. Z kamienia wystawały jeszcze tylko nogi, część twarzy, ramiona i dłonie, które rozpaczliwie chronił przed wronieniem w ścianę, uderzając nimi dla rozgrzewki. Wszyscy staliśmy pełni współczucia i bezsilni. Czuliśmy tak, jak zwykło się to czynić przy umierającym.

— Ooo! — towarzyszyło chwili, w której dziadek nogi wytrzymał zimną, przetrucił nogi na drugą stronę, w głąb muru, tak, jakby przechodził przez niskie ogrodzenie, na przykład do jakiegoś ogrodu. Zanikły także palce rąk. Potem starzec rozplynał się dla naszych oczu zupełnie. Staliśmy w milczeniu, porażeni tym niezwykłym odejściem. Wtedy, jeszcze na kilka sekund, pojawiły się jego usta i bezręczne dźwięki w ironicznym uśmiechu. Pożegnał nas wysunięty z muru nie całkiem różowy, bo chorobliwie obłożony język. Długi jezor dziadka.

W chwilę potem ściana była pusta. Zaczął padać pierwszy śnieg.

Dziadek w murze

Wojciech Próchniewicz

brze znanego mi miejsca, nie zatrzymując się wcale. Nie sądziłem, że w tak paskudny czas zastanę tu staruszkę. Zdziwienie moje spowodowało, że zapomniałem o gazecie. Cofnąłem się. Znajomy starzec siedział w tym samym miejscu, całkowicie przemoknięty. Patrzył na mnie takim wzrokiem, jakby na coś czekał. Po raz pierwszy przemówiłem do niego. Nie pamiętam dokładnie o co mi chodziło, ale staruszek nie odezwał się.

Patrzył na mnie wyczekująco, a ja nie mogłem zrozumieć tego człowieka i stałem razem z nim na deszczu, z całkowitą pustką w głowie. Nie wiem, ile czasu minęło, gdy pomyślałem o powrocie do domu. Byłem przemoknięty i porządnie zmarzłem, a tam, parę metrów dalej, czekało na mnie ciepło i spokój. Cofnąłem się wolno o kilka kroków, potem o wiele następnych i już całkiem szybko, starając się zapomnieć o tym, co poza mną, podążyłem do domu. Czulem, że coś jest nie tak. Ale nie wiedziałem, dlaczego wszystko rozegrało się w ten sposób. Byłem zły na dziadka, na siebie i na cały świat!

Minęło kilka dni. O swojej przegodzie zapomniałem całkowicie, bo dużo pracowałem i prawie nie wychodziłem z domu. Któregoś popołudnia postanowiłem zejść do kiosku, gdyż nie wiedziałem, co się dzieje w wielkim świecie. Wychodząc, wyprzedziłem panią naczelnikową, kłaniając się jej uprzejmie, i w chwilę potem byłem już na ulicy.

Zobaczyłem go od razu. Siedział tak, jak zwykle. Tego dnia wyglądał naprawdę żałośnie. Kiedy mnie ujrzał, uśmiechnął się smutno.

— Skąd on się tutaj wziął? — dopiero teraz dostrzegłem stojącą wokół dziadka grupkę ludzi. Rozmawiali z ożywieniem, pokazując sobie siedzącego.

twary wyraz zgorznienia. Dookoła zmierzniałego starca stało już sporo osób, w tym prawie wszyscy moi sąsiedzi z kamienicy. Rozmowa toczyła się dalej.

— Ja? — pan J. wydawał się nie rozumieć pana Z.

— Tak, Pan!

— No... Jakby to... — pan J. zastanawiał się gorączkowo, dłubiąc z przejęcia w ucho.

— Więc jak?

— ...!

— Eee! — zdenerwował się pan Z. Patrzyłem na staruszkę. Przysłuchiwałem się rozmowie i jego twarz przybierała coraz bardziej złośliwy wyraz. Gdzieś podziłało się jego przynębenie i patrzył teraz ironicznie na zebranych wokół siebie ludzi.

— To może pan?! — pijak z sąsiedniej kamienicy zaatakował pana Z.

— Ja?! Dlaczego ja?! — zachnął się pan Z.

— Może jednak pan?! — naciskał pijak, chwycając się i usiłując złapać pana Z. za ramię. W pewnym momencie to mu się udało.

— Proszę mnie zostawić w spokoju! — wrzasnął z obrzydzeniem pan Z. i szarpnął rękę. Odwrócił się wyniosłe i szybkim krokiem powrócił do domu.

— Ale po co te kłótnie — wtrąciła się pani J. — no, przecież musi się znaleźć jakiś kąt dla tego biedaka?! — tu zwróciła się do męża zupełnie nie po kupiecku — kochanie, może my...?

— Do domu! — warknął pan J. — ja ci dam kąt!

Pomyślałem, że prawdopodobnie spierze, jak nieraz, swoją żonę, bo uśmiech, z jakim wywarczał rozkaz, był niewątpliwie optymistyczny.

Tymczasem ja stałem i wciąż przysłuchiwałem się rozmowie zebranych. Sam nie odzywałem się, chociaż stale

Karol Wojtyła KAMIENIOŁOM

Ciąg dalszy ze str. 1

3.

Dłonie są krajobrazem serca. Dłonie pękają nieraz jak wąwozy, którymi się toczy nieokreślony żywioł. Te same dłonie, które człowiek wówczas dopiero otwiera, gdy nasycone są trudem — i widzi, że przez niego jednego inni ludzie spokojni już idą.

Dłonie są krajobrazem: Gdy pękają, to wtedy w ranach wybiera fizyczny ból, rzuca swobodnie jak strumień. Ale człowiek nie myśli o bólu.

Ból sam jeszcze nie jest wielkością, a swej właściwej wielkości on po prostu nazwać nie umie.

4.

Przecież nie tylko ręce opadają ciężarem młota, nie tylko wybiera tors i mięśnie kształtują swój styl — ale przez pracę jego myśli głębokie wiodą, by się włączyć z marszczkami na czole, by się wznosić wysoko nad głową ostrym łukiem ramion i żył. Gdy więc tak się na chwilę przemieni w przekrój gotyckiej budowli, który przenika zrodzony z jego myśli i oczu pion — to nie jest tylko postać między kamieniem a Bogiem skazana na wielkość i błąd!

II NATCHNIENIE

1.

Praca zaczęła się wewnątrz, a na zewnątrz ma tyle przestrzeni, że dłonie ogarnia natychmiast i dosięga do granic oddechu. Oto spójrz: wola trafiła w kamienia głęboki dzwonek. Kiedy myśli uzyskuje swą pewność, wówczas razem dosięgły szczytu serca i dłoń.

Za ten pion, za tę pewność umysłu, za pewność oka płaci się ręką szczodra.

Wydała ci kamień swą moc, a przez pracę dojrzewa człowiek, ona bowiem niesie natchnienie trudnego dobra.

I od niej się to zaczyna, co narasta w sercu i myślach, co tyle ważnych wydarzeń i ludzi tylu osacza — jakaś miłość dojrzewa w młotach!

Grupki dzieci poniosą ją w przyszłość, Spiewając: „w sercach ojców bezgraniczna spełnia się praca”.

2.

To natchnienie w dłoniach nie zostaje. Do kamienistych rdzeni zstępuje przez serce człowieka, które tworzy osobny rdzeń. I od niego rozrasta się w ziemi historia kamieni, a w ludziach ta równowaga, którą miłość osiąga przez gniew.

One obie prowadzą człowieka, nie wyczerpią się w ludziach nigdy, nie ustaną w napięciu ramion ani w sercu ukrytym geście — a biorą się z siebie wzajemnie, dopełniają się taką dźwignią, która myśli i ruchy zespala w nierozdzielny pierścień.

Więc jeśli chcesz trafić z daleka i wejść, i w ludziach pozostać, to musisz obie te siły skupić mową nad wyraz prostą (mowa twoja nie może przysnąć w napięciach owej dźwigni, którą tworzą miłość i gniew). Wówczas nikt Cię nie wydrze z człowieka, nie oderwie od niego nigdy.

III UCZESTNICTWO

Oto światło surowej deski niedawno wyjęte z pnia wpływa w twoją dłoń ogromem wszelkiej pracy. A całe tej dłoni napięcie o taki opiera się Akt, że wszystko przenika w człowieka i wszystko głodzi.

Człowiek ma oczy zmęzione i ostre brwi.
Kamienie mają krawędzie ostre jak noże.
Prąd elektryczny tnie ściany jak niewidzialny bież.
Słońce, lipcowe słońce. W kamieniach biały pożar.

Czyż ręce moje należą do światła, co blaskiem przecina tory kolejki, kilofy i w górze nad nami plot?
Moje ręce należą do serca, a serce nie przeklina —
oddalaj serce od ust, gdy usta prostacko klną!

Znam was, wspaniali ludzie, ludzie bez manier i form.
Umieję patrzeć w serce człowieka bez osłon i bez pozorów.
Czyż ręce należą do pracy, czyż ręce należą do krzyża.
W górze nad wami plot — tam kilofy rozrzucone na torach.

Są puste miejsca w kamieniach — nie trafiaj na takie miejsca!
Filary podcięte prądem zsypują się w dół jak do naczyn.
Młodzi szukają drogi. Wprost w moje serce
uderza dropa wszystkich. Czyż kamień przebacza?

Sluchaj, gdyby świat stanął w tej równowadze rąk,
którą przez każdy wybuch kamienia i człowieka
rozpościerasz niezmiennie nad plotem, o kilka kroków stąd
— tamtędy czasem dziecko nieostroźnie przebiega.

Lecz równowaga ta, którą samotnie trzymasz,
wydaje się równocześnie za blisko i za daleko.
Trzeba się nagiąć zarazem i zarazem trzeba się wspiąć.
(Dziecko jest nieostrożne i łatwo tamtędy przebiega.)

I znów zostaje milczenie między sercem, kamieniem i drzewem.
Każdy w nie może wejść. Jeśli wszedł, pozostanie sobą.
Jeśli nie wszedł, to mimo pozorów, we wszystkich sprawach ziemi
nie uczestniczy dotąd.

IV.

(Pamięci towarzysza pracy)

1.

Nie był sam. Mięśnie jego wrastały w ogromny tłum,
dopóki dźwigały młot i pulsowały energią —
lecz trwało to wszystko tak długo, dokąd czuł pod stopami grunt,
dokąd kamień nie zmiął mu skroni
i nie przeciął komór serca.

2.

Wzięli ciało, szli milczącym szeregiem.

3.

Trud jeszcze zstępował od niego i jakaś krzywda.
Mieli bluzy szare, buty wyżej kostek w błocie.
Ujawniali właśnie to wszystko,
co wśród ludzi powinno się skończyć.

4.

Czas jego stanął gwałtownie. W zegarach niskiego prądu
zerwały się nagłe wskazówki i spadły z powrotem do zera.
Przeniknął go biały kamień, w istotę jego się wżarł
i przejął ją wreszcie na tyle, że stała się sama kamieniem.

5.

Któż z niej odwali kamień? Kto myśli na nowo rozpostrze
w skroniach głęboko pękniętych — tak pęka na ścianie tynk.
Złożył go milczące plecami na płachcie żwiru.
Przyszła znikająca żona i wrócił ze szkoły syn.

6.

Czy dotąd? Czy jego gniew ma się tylko na innych przeloc?
Czy nie dojrzewał w nim samym własną miłością i prawdą?
Czyż mają go jak tworzywa zużyć pokolenia
i wyzwać z treści najgłębszej, jedynej i własnej?

7.

I znów ruszyły kamienie. Wagonik ginie w kwiatach.
I znów prąd elektryczny ściany głęboko tnie.
Lecz człowiek zabrał z sobą wewnętrzną strukturę świata,
w której miłość tym wyżej wybuchnie, im większy nasyci ją gniew.

1956 r.
Karol Wojtyła: Poezje i dramaty, Wyd. Znak Kraków 1979 r.



II wizyta w Polsce



POLSKA 31 ZL



Walory pocztowe
wydane z okazji
drugiej wizyty
papieża Jana Pawła II
w Polsce



Wydawnictwo Otto Müller w Salzburgu (Austria) opublikowało zbiór satyr rysunkowych poświęconych osobie papieża Jana Pawła II.

Z tego zbioru reprodukowujemy pracę Pino Zaccy pt.: „Dyplomatyczna mitra”.

Być artystą w Nowym Jorku

Dokończenie ze str. 1

TM: — By „ogłuszyć” publiczność, co zresztą osiągnął. Impreza okazała się poważnym sukcesem finansowym tego największego w świecie dealera.

IJK: — Sztuka jako towar...
TM: — Nic nowego. Wielkiej sztuce zawsze towarzyszyły wielkie pieniądze; Rembrandt malował na zamówienie, Chopin za jedną lekcję gry na fortepianie inkasował, w przeliczeniu na współczesną walutę, 20 dolarów.

IJK: — W Polsce są jeszcze artyści, którzy przynajmniej twierdzą, że twórczość to akt czysty i suwerenny.
TM: — Ponieważ w tym naszym środowisku przeważają ludzie, którzy nie mogą sobie poradzić w życiu na własną rękę, czekają na stypendia.
IJK: — A kiedy otrzymają je, nie przyznają się do tego.

TM: — W Nowym Jorku można sprzedać właściwie każdy produkt o cechach artystycznych, wystarczy tylko znaleźć sobie dobrego handlarza. Amerykanie to społeczeństwo konsumpcyjne, młode, przyjmujące i nowe postaci sztuki, ale pod warunkiem uprzedniego zaakceptowania takiej twórczości przez dealerów i ustanowienia przez nich odpowiednio wysokiej ceny.

IJK: — Dolary jako synonim wartości artystycznej?

TM: — Takie kryterium obowiązuje w snobizującej się elicie, ale trzeba wiedzieć, że rynek nie zapomina też o ludziach mniej zamożnych, którym oferuje się np. grafikę, produkowaną w olbrzymich ilościach.

IJK: — A gdzie jest miejsce w tym układzie dla sztuki ambitnej, powiedzmy, awangardowej?

TM: — Taka twórczość rozwija się poza rynkiem opanowanym przez dealerów, w ośrodkach alternatywnych, szczególnie licznych w Nowym Jorku, np. w tzw. Project Studio I na Queensie, utrzymywanym zresztą z funduszy miasta.

IJK: — Tam właśnie dysponował pan przez dwa lata pracownią, biorąc udział w międzynarodowych pokazach PS I, co widziałem na własne oczy.

TM: — Tylko, widzi pan, z czasem i artyści niezależni przechodzą do galerii komercyjnych, bo poza tym systemem nikt nie jest w stanie osiągnąć znośnego standardu egzystencji. To droga typowa: od miejsce alternatywnych, gdzie można swobodnie realizować dowolne koncepcje, do świata komercji, w którym obowiązują już twarde reguły gry.

IJK: — Mamy więc do czynienia ze szczególnym przypadkiem ogólnego modelu życia, właściwego dla USA.

TM: — Zapewne. O potęgę owych galerii niech świadczy jeszcze fakt, że to właśnie one kreuują kolekcje muzealne, składające się w znacznym stopniu z takich obiektów sztuki, które dealerzy uznali właśnie za wartościowe, kierując się własną polityką. Przedstawiciele land-artu czy concept-artu programowo manifestowali swoją niechęć do tego systemu, Robert Smithson dosłownie uciekł na pustynię w stanie Utah, by tam uformować w naturze „Spiralną groblę” na Wielkim Słonym Jeziorze. No i co? Zaczęto handlować dokumentacją fotograficzną i rysunkową tej realizacji przez niego zresztą sporządzoną. Komercja wciąga w końcu nawet najbardziej odpornych na jej wdzięki.

IJK: — Odnoszę wrażenie, że okresowa niezależność wielu artystów to zwykła kokieteria z ich strony...

TM: — Wszystko obraca się wokół pieniędzy. Taki Christo zyskał dziesięć milionów dolarów, opakowując wielkie polacie terenu czy obiekty architektury w tysiące metrów kwadratowych płacht plastycznych. Były to przedsięwzięcia kosztowne, pochłaniające miliony dolarów, ale znajdujące przecież szczodrych sponsorów — wśród fabrykantów trudniących się produkcją plastyków, dla których Christo stał się po prostu agentem reklamowym. Jego ostatni pomysł propaguje się jako ósmy cud świata: za 200 milionów

dolarów Christo zamierza opakować wyspę w Miami. Oczywiście, Bulgar zdaje sobie sprawę, jakie intencje przyświecają wspierającym go przemysłowcom i jakim celem służą te realizacje. Ale wie także, ile sam na tym może zarobić. To obrotny człowiek, posiada wielki zmysł organizacyjny, który zdążył już ujawnić w szeregu bułgarskiej organizacji młodzieżowej, podobnej do naszego ZMP, naturalnie przed opuszczeniem kraju, zresztą wiele lat temu.

IJK: — Na inną okazję odkładając rozległą kwestię autentyzmu twórczości amerykańskiej, wypada zauważyć, że naszkicowane przez pana mechanizmy dość swawo poruszają tamtejszą sztukę.

TM: — Oczywiście. Artysta w USA potrzebuje uwagi takich np. dealerów, bo te kruki faktycznie stymulują jego aktywność.

IJK: — W Stanach zaczynał pan od zera...

TM: — W Nowym Jorku pojawiłem

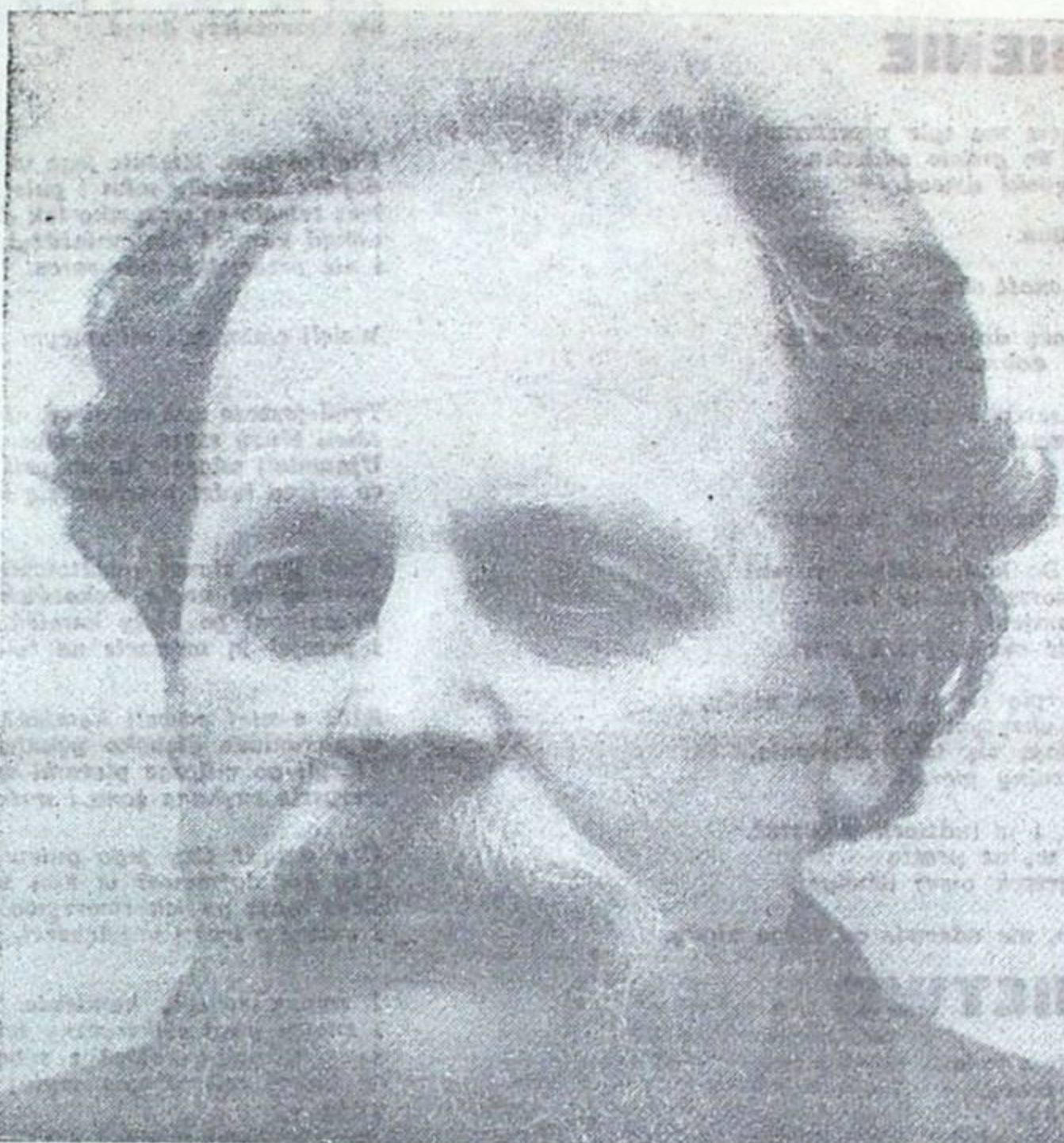
uropy Zachodniej i USA. Jak wiadomo, ten kierunek radzieckiej awangardy wywarł wielki wpływ na powstanie minimal-artu w Stanach Zjednoczonych.

IJK: — Wiadomo? Przecież juniorzy artystyczni w Polsce więcej wiedzą o Robertcie Morrisie, niż o Malewiczu czy Rodczence, no i w efekcie zawzięcie powielają rzeczy zachodnie o takiej czy siakiej tytulaturze!

TM: — W tym właśnie czasie zredukowałem paletę do czerni i bieli, próbując od podstaw skonstruować świat własnej sztuki. Inspirowany konstruktywizmem ze Wschodu, znalazłem ostatecznie własne miejsce w sztuce Zachodu, w ruchu artystycznym USA.

IJK: — W pańskiej pracowni w PS I widziałem książki Władysława Strzemińskiego.

TM: — No właśnie! Konstruktywizmem polskim w wydaniu „Błoku” i „a.r.” interesowałem się żywo już w kraju, studiując prace Strzemińskiego,



Tadeusz Mysłowski

Fot. Waldemar Stępień

się w „złoty okresie” sztuki amerykańskiej, której obszar wyznaczały takie tendencje i zjawiska, jak minimal-art, land-art, concept-art, body, performance. Dla mnie, malarza wychowanego w estetyce koloryzmu, sztuka ta stała się powodem poważnej autorefleksji.

IJK: — Ale przecież już w Polsce odchodził pan od koloryzmu.

TM: — Faktycznie. Zdecydował o tym pobyt w Kijowie, gdzie po raz pierwszy zetknąłem się z malarstwem (i scenografią) Natalii Gonczarowej, Michaila Łarionowa i Kazimierza Malewicza, czołowych artystów awangardy rosyjskiej i radzieckiej pierwszych lat po rewolucji. Ale dopiero w USA zacząłem na serio rewidować swoją dotychczasową twórczość, na innych zasadach organizować własną wrażliwość. Zmierzałem do koncepcji usytuowanej między sensualizmem koloru a racjonalizmem konstrukcji, mówiąc w uproszczeniu. Trwało to, jak wspominałem na wstępie, cztery lata, podczas których zarzucałem manualną praktykę. Po prostu nie malowałem obrazów; chodziłem po galeriach i muzeach, oglądałem obiekty sztuki, zastanawiałem się, wyciągałem wnioski na przyszłość. Co mnie zaniosło do Kijowa? Wymiana plenerowa między tamtejszą uczelnia a naszą krakowską Akademią.

IJK: — W jakich okolicznościach powrócił pan do malarstwa?

TM: — Po obejrzeniu wielkich wystaw konstruktywizmu ze zbiorów E-

Katarzyny Kobro i Henryka Stażewskiego w zasobnym pod tym względem Muzeum Sztuki w Łodzi, gdzie okresowo mieszkalem. Nadal zresztą cenię ich twórczość, której czas — jestem o tym głęboko przekonany — nie zdemolował w najmniejszym nawet stopniu. Konsekwentnie gromadzę książki o polskim i radzieckim konstruktywizmie, stawiając je na eksponowanych miejscach mojej biblioteki, z której korzystam przy pomocy drabiny na kółkach — rozległa jest bowiem i wysoka. Warto przy tym wspomnieć, że monochromatyczne malarstwo unistyczne Strzemińskiego miało wpływ na ukształtowanie się w USA tendencji monochrome-painting, kontynuowanej aktualnie przez Roberta Rymana.

IJK: — A kiedy sprzedał pan swój pierwszy obraz w Stanach?

TM: — Może inaczej: przez pierwsze pięć lat nie sprzedałem ani jednego. Szukając własnej drogi, działałem poza sferą handlu, bo wiedziałem, że jak wdepnę wtedy, na początku, w system galeryjny, to stracę samodzielność i stanę się przedmiotem manipulacji zgodnych z interesami właścicieli tych przybytków. Na podstawie prac, które już zdążyłem wykonać w Nowym Jorku, przyjęto mnie natomiast do wspomnianego Instytutu Sztuki Eksperymentalnej (PS I), udzielając stypendium z kasy miejskiej. W ten sposób stałem się członkiem międzynarodowej społeczności artystów niezależnych, skupionych w PS

I, a pochodzących z USA, Europy (głównie z RFN) i Azji. Pracowałem dwa lata, osiem godzin dziennie — jak na etacie! W rezultacie wykonałem tę grafikę-fotograficzną pt. „Avenue of America”.

IJK: — O ile wiem, tę zakupiła Biblioteka Narodowa w Paryżu, a ostatecznie Muzeum Narodowe w Warszawie, które zamierza ją pokazać na wystawie „Koncepcje przestrzeni w sztuce współczesnej”, przygotowywanej przez panią dr Dorotę Folgę-Januszewską. Może kilka słów o technice realizacji i idei owej portfolio...

TM: — „Avenue of America” to graficzny zapis mojego osobistego, konceptualnego doświadczenia przestrzeni tej alei Manhattanu. Zaczęła od tego, że na planie Nowego Jorku wyznaczyłem interesujący mnie fragment miasta, a następnie „przemierzyłem” go drogą intelektualno-wyobraźniową, notując własne doznania bezpośrednio na filmie fotograficznym. Potem, posługując się procesem chemicznym, wykonałem z tego materiału odbitki, które w myśl moich intencji przedstawiały nową strukturę architektoniczną miejsca, ujętą w zapisie umownym, geometrycznym, „zmatematyzowanym” na kartwie konstruktywistycznej inspiracji. Wprowadzeniem do idei realizacji jest zdjęcie autora w alei, na tle ogromnych, surowych budowli Avenue of America, otwierające całą tękę. Posłużyłem się więc techniką bardzo prostą i czystą jak drzeworyt, wykorzystując chemiczne właściwości tworzywa i specyficzne walory światła.

IJK: — Patrzę na plansze z „Konceptualnym doświadczeniem” realnej przestrzeni Nowego Jorku i myślę, jak trudno żyć w tak bezwzględnie zgeometryzowanym układzie ulic i domów.

TM: — Mieszkając na Manhattanie, jako uległem architekturze miejsca, ale w taki sposób, że pozwoliło mi to obiektywnie zarysować główny problem miejsca: właśnie ów plan. Inna sprawa, że istniejąca tam architektura przestała już odpowiadać ludziom zmęczonym standaryzacją. Na nowe budynki powracają ornamenty i inne detale dekoracyjne, minimalistycznie zredukowane formy Nowego Jorku oddalają się w historię.

IJK: — Czy później także szukał pan inspiracji w konstruktywizmie?

TM: — Zaintrygował mnie krzyż z obrazów Malewicza, rozumiany jako swoista ikona sztuki czy w ogóle kultury, konstrukcja najbardziej chyba prymarna, obecna — jak obliczyłem — np. we flagach 12 państw. A zatem nie interesowały mnie treści symboliczne krzyża, ale jego wartości konstrukcyjne oraz skala ich podatności na deformację, wynikające z różnej perspektywy widzenia przedmiotu. Posługując się aparatem fotograficznym, urządzeniem mechanicznym daleko obiektywniejszym od ludzkiego oka, właściwie analizowałem sam proces postrzegania, by udowodnić, że artysta zawsze deforma świat, który przedstawia w swej twórczości. Końcowym efektem moich operacji, przypominających rzeźbiarskie modelowanie kształtów w przestrzeni własnej psychiki, były duże plansze z krzyżami, które w niewielkim tylko zakresie przypominały kanoniczny obraz tej konstrukcji.

IJK: — Zaskakująca jest ta pańska pamięć o kulturze Europy środkowo-wschodniej...

TM: — Może zabrzmiało to pretensjonalnie, ale ja naprawdę chciałbym zachować korzenie w miejscu, z którego wyszedłem, gdzie żyłem i kształtowałem się przez 25 lat. Istnieje tylko jedna sztuka: autentyczna i ja nie wyobrażam sobie, bym mógł, sensownie, bez fałszu inspirować się np. tasyzmem. Wynika to zresztą z powodów znacznie głębszych, niż racjonalne postanowienie połączone z etycznym aktem lojalności etnicznej. Przywiązanie do własnego rodowodu kulturowego tkwi w człowieku jakoś naturalnie — albo go nie ma. Wybitny rzeźbiarz amerykański japońskiego pochodzenia, Isamu Noguchi, stale ogłasza, że jest artystą międzynarodowym, gdy tymczasem jego twórczość ujawnia japońskie właśnie korzenie. A czy zastanawiał się pan kiedykolwiek, dlaczego w Kanadzie nie ma poważnej sztuki?

IJK: — Tymczasem wystarczy mi wiedza o tym, że pańskie prace trafiły m.in. do największej w USA kolekcji konstruktywizmu: do Mc Croy Collection. Przypominam sobie ponadto, że jeszcze przed „krzyżami” boję daj w 1976 roku wykonał pan wariację „Twarze Nowego Jorku” którą gmenty można obejrzed w Muzeum

Sztuki w Łodzi oraz w stołecznym Muzeum Narodowym.

TM: — Seria obejmuje 2000 portretów, które zrealizowałem na nowojorskiej ulicy, korzystając z kamery fotograficznej sprzężonej z komputerem i drukarką. Zdjęcia te, skomponowane z charakterystycznych dla komputera ekranu punktów, przedstawiają przypadkowych przechodniów, którzy zechcieli „uwiecznić się” przy pomocy tej aparatury, służąc mi zarazem do kompozycji, umownie rzecz traktując, pod tytułem: pejzaż socjologiczny Nowego Jorku.

IJK: — O ile wiem, to młoda generacja artystów amerykańskich porzuciła nowoczesne techniki rejestracji wizualnej, machnęła dłoń na analityczno-metodologiczne ambicje sztuki konceptualnej czy w ogóle mentalnej, wykazuje brak zrozumienia dla performance, no i maluje, znów maluje ludzi i rzeczy!

TM: — Istotnie, pojawił się w USA szeroki nurt „nowego ekspresjonizmu”, który przekreślił wszystkie wartości minimal-artu i jego ideowych pobratymców. W tym świadomie niechlujnym, chaotycznie i gwałtownie „robionym” malarstwie, wypełnionym torturowanymi postaciami człowieka, wyraża się niepokój młodych przed zagładą atomową, a jednocześnie krytyczny stosunek do preferującej bogatych zasady „sprawiedliwości finansowej”, na której wznosi się amerykański establishment. Znamienne, że tę sztukę, wypełniającą dziś galerie i muzea Nowego Jorku, tworzą przede wszystkim artyści bez wykształcenia plastycznego, ludzie, którzy po prostu czują się zmuszeni do krzyku przez bieg wydarzeń społeczno-politycznych.

IJK: — A niedaleko miejsca w Lublinie, gdzie rozmawiamy, także przy ul. Narutowicza, grupa studentów wychowania plastycznego bawi się w „badanie sztuki”, albo chichocze dadaistycznie, lub performuje permanentnie, podniecana przez starszych patronów, którym ciężko wydaje się, że sztuka jest dla sztuki i buduarowych manifestacji.

TM: — Nawrót do twórczości figuratywnej, symbolicznej i ekspresyjnej, to próba porozumienia się artystów ze społeczeństwem w obliczu totalnego zagrożenia egzystencji gatunku ludzkiego, występująca w zakresie szerszym, niż „new expressionizm”. Korzysta się przy tym z rozległego repertuaru form i metod sztuki: dawnej i współczesnej, z którego czerpie się wedle uznania. Pojęcie eklektyzmu straciło sens pejoratywny, liczy się wyraz, a nie oryginalność formy. W obrazach pojawiają się dobrze znane znaki i symbole: torsy klasyczne, palmy, ptaki, sylwetki umęczonych ludzi oraz elementy wchodzące w skład naszej ikonosfery i kultury popularnej. A wszystko to wręcz przewala się przez kompozycje, „wchodzi i wychodzi” w obręb płócien bez respektu dla jakichkolwiek reguł. Maluje się też à la Rembrandt, montuje asamblaż... Wplątani w szalony ruch świata, pragniemy się określić.

IJK: — Pragniemy?!

TM: — Żyję tam, więc odczuwam ten niepokój. Moje nowe rysunki utraciły strukturę geometryczną, kąty proste. Od dwóch lat są nerwowo rozdzierane i nie ma to nic wspólnego z modą. Nadal interesuje mnie problem deformującej energii światła, który badam w większej skali przestrzennej, wykorzystując materiał z serii „Avenue of America” Ale, jak powiedziałem, tkwię w tamtym życiu.

IJK: — Dziękując za rozmowę, notuję nazwy muzeów i innych instytucji, w których znajdują się pańskie prace: Bibliothèque National w Paryżu, Galerie Lambert, Museo do Arte Contemporaneo de Ibiza w Hiszpanii, Muzeum Sztuki Współczesnej w Skopje, Muzeum Narodowe w Warszawie, Muzeum Narodowe w Szczecinie, Muzeum Sztuki w Łodzi, Muzeum Plakatu w Wilanowie, Library of Congress w Waszyngtonie, Brooklyn Museum N.Y., California Palace of the Legion of Honor w San Francisco, Smith College Museum of Art w Northampton (Massachusetts), Williams College Museum of Art w Williamstown (Massachusetts), Grey Art Gallery w Uniwersytecie Nowego Jorku, Bellevue Hospital N.Y., Prudential Insurance Company of America, 3M Company, Mc Croy Collection N.Y., Albright-Knox Art Gallery w Buffalo. W niektórych muzeach amerykańskich prace Tadeusza Mysłowskiego eksponowane są wspólnie z obrazami Władysława Strzemińskiego i Henryka Stażewskiego.

Ireneusz J. Kamiński

Na ratunek Cesarstwu i Europie

Dokończenie ze str. 3

W liście do żony z 29 sierpnia pisał Sobieski: „Jutro, da Pan Bóg, spodziewamy się usłyszeć działa wiedeńskie, a pojutrze napię się wody dunajskiej... Życzą wszyscy, aby Litwini szli przez Węgry, aby przynajmniej za te pieniądze, które pobrali, uczynili jakkolwiek nieprzyjacielowi dywersję. O zdrowiu Wści serca mego po

rozjędnym się naszym najmniejszej nie ma wiadomości; bo lubo ich tak wiele stamtąd przyjeżdża, takie jakieś nieszczęście, że żaden tamtych, gdzie by się miał potkać z Wścią sercem moim, nie jechał gościncem. Całuję zatem i ściskam ze wszystkich duszy i serca wszystkie śliczności najulubieńszego mego ciałeczka... Dzieci całuję, obłapiam i pozdrawiam”.

31 sierpnia między Mikulowem a Hollabrunn stawił się niespodziewanie przed monarchą naczelny wódz cesarski, książę Karol Lotaryński, były kontrkandydat Sobieskiego do korony polskiej, mąż królowej Eleonory Marii Józefy, wdowy po Michale Tomaszu Korybutie Wiśniowieckim. Powitanie obu niedawnych rywali było serdeczne. Gdy książę Karol Lotaryński zsiadł z konia i pieszo szedł do króla, Sobieski również uczynił to samo i przy powitaniu uściskał księcia.

Król wydał wieczorem ucztę „na cześć Austriaków. Zgodnie z praktykowaną zasadą, że „w winie prawda”, sownicie raczone gości węgry i innymi trunkami. Nazajutrz w liście do Marii Kazimiery pisał król: „Nie tylko się najedli, ale się i popili, i dobrze... Naprzód nie chciał pić (książę Karol Lotaryński) inszego wina, jeno mozelskie z wodą, i to wody bardzo sila; jakoż cale nie pija. Rozochociwszy się jednak pił i węgierskie. Ow Taff, co był posłem od niego na mojej elekcji, był też z nim... i często mu do ucha szeptal i aby był nie pił, przestrzeżał; ale się zaś i sam stróż upił, i samże potem ochoty dodawał. Gdy już sobie tedy podpiał książę, po różnych komplementach pytał, jako się zowie po polsku ojciec i brat. Powiedziano mu. Tedy... powtórzył to z pięset razy, pokazując na mnie: „To ojciec, a ja syn, a wy bracia moi... To tak tego było przez kilka godzin”. I dodawał: „Możesz to Wść moje serce powiedzieć JMści ks. nuncjuszowi [papiieskiemu Opicjo Pallaviciniemu]; a oraz, że tu nam pp. generalowie i rządcy tutezni i radzi bardzo, i nieradzi; radzi, żeśmy ich salwować przyszli; nieradzi, albo przynajmniej zadziwieni, żeśmy tu przedziej przyszli, niżeli się spodziewali, a oni dotąd się jeszcze nie wygotowali, dlatego nie byłoby, uchowaj Boże. czego zlego na kogo złożyć, bo i most [na Dunaju] jeszcze nie gotowy, i ludzie sascy et de l'Empire [i cesarscy] po zadzie... O brandenburskich ludziach cale nie slychać i już na nich czekać nie będą”.

Adam A. Witusik

(Fragment książki pt. Sobieski pod Wiedniem”, która ukaże się niebawem nakładem WK SD w Lublinie).



Jan III Sobieski. Miedzioryt S. Thomassina zkońca XVII wieku.



Janeczkar turecki (XVII wiek).



Kara Mustafa pasza, wielki wezyr turecki. Szyby z 1684 r.

ARCHIWUM MISTRZÓW ANEKDOTY

Wilhelm Dilthey pyta studenta na egzaminie o Descartesa. Zakłopotanie. Uczynny sąsiad przychodzi z pomocą szepcząc: „Cogito ergo sum”.

- Cetto ergo sum — powtarza radośnie egzaminowany.
- Na to Dilthey spokojnie:
- To nie jest wprawdzie z Descartesa, ale niemniej jest prawdziwe.

Niezbicie prawdziwe, czego nie można powiedzieć o innych systemach filozoficznych. Winszuję panu koledze. Zdał pan.

Pewien poeta brazylijski, gorliwy katolik, spędził wieczór z kolegami na Montmartrze. Po dobrej porcji szampana oddał się w towarzystwie pięknej brunetki. Na drugi dzień rano spotykają go przed wejściem do kościoła. Wywołuje się następujący dialog:

- Co tu robisz?
- Idę wypowiadać się. Ona była Żydówką.
- Po chwili poeta dodaje cichym głosem:
- Zresztą wiedziałem o tym.
- I poszedł w stronę konfesjonatu.

Ak'or Ebelsbacher z Frankfurtu nad Menem występował w miasteczku niedaleko rodzinnego miasta. Afisze głosiły: „Faust” Goethego. Mefisto: O. Ebelsbacher. Obaj z Frankfurtu.

Wyszyperal: Ryszard Dunia

Piórkami Józefa Tarłowskiego TO TEŻ LUBLIN!



KRZYŻÓWKA NR 16 (szyfrogram literacki)

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu na miejsce liter odpowiadające im litery i odczytać rozwiązanie — fragment powieści pisarza, którego imię i nazwisko tworzą pierwsze litery 14 początkowych wyrazów. Czarne pojedyncze kratki w diagramie odpowiadają przerwom między słowami, a podwójne — między zdaniami.

- Wyrazy pomocnicze:**
- I. 5, 20, 68, 152, 53, 46 — majowy śpiewak,
 - II. 53, 90, 85, 84 — bardzo podobna do lososa,
 - III. 19, 112, 48, 127, 18, 138, 43 — wybory,
 - IV. 42, 131, 133, 152, 93, 38 — końcówka i przyspieszeniem,
 - V. 49, 63, 22, 156, 89, 67, 111, 79 — państwo arabskie w Afryce,
 - VI. 30, 28, 84, 103, 109, 147, 6, 32 — uzdrowisko w woj. lubelskim,
 - VII. 11, 153, 1, 18, 29 — oręż przeszłości,
 - VIII. 21, 121, 54, 15, 8, 19 — sputnikowanie głęby przez opady,
 - IX. 23, 86, 80, 45, 190 — godło Związku Polaków w Niemczech,
 - X. 2, 52, 128, 144, 78 — uparte zwierzę,
 - XI. 44, 13, 87, 72, 77, 93 — drobny, ciężki deszcz,
 - XII. 52, 137, 140, 103, 73, 178 — wędlina z tylniej części świni,
 - XIII. 24, 133, 124, 12, 39, 154, 51 — środki finansowe pożyczone z banku,
 - XIV. 4, 139, 107, 139, 129, 3, 130, 39 — przeczuć, domysł,
 - XV. 148, 8, 90, 27, 41 — obraca głową,
 - XVI. 28, 38, 47, 143, 33, 115, 141, 55 — andrus, gawrocz,
 - XVII. 118, 112, 126, 45, 132, 58, 143, 71 — do starcząca kwiat,
 - XVIII. 91, 23, 104, 118, 146 — podszedzenie,
 - XIX. 56, 16, 97, 74, 114, 131, 102 — nadwiślańska mewa,
 - XX. 136, 61, 102, 117, 135, 119 — historia,
 - XXI. 150, 88, 63, 129, 129, 82 — wyrastający z ziarna zaczątek rośliny,
 - XXII. 31, 48, 35, 68, 31 — gwałtowny deszcz,
 - XXIII. 1, 14, 34, 56 — materiał opatrunkowy,
 - XXIV. 101, 70, 134, 142, 83, 17, 76 — nitka skręcona z włókien,
 - XXV. 123, 104, 137, 69, 69, 97 — opieka,
 - XXVI. 82, 132, 56, 97 — powoduje ją brak zajęcia.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231, 20-000 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bonus książkowy wartości 300 zł.

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15		
16		17		18	19	20	21	22	23		24	25	26	27	28	
29		30	31	32	33	34		35		36	37	38	39	40	41	
42	43	44	45	46	47	48		49	50	51	52	53	54	55	56	57
58	59	60	61	62	63		64	65	66		67	68	69	70	71	72
73	74			75	76	77	78	79	80		81	82	83	84	85	86
87	88			89	90	91	92	93	94		95	96	97	98	99	100
101	102	103	104	105		106	107	108	109	110	111		112	113	114	115
116	117	118			119	120	121	122	123	124	125	126	127	128	129	130
131		132	133	134	135	136	137	138	139		140	141	142		143	144
145	146	147			148	149	150	151	152	153	154	155	156	157	158	

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 14

P I O N E W O: Korzeniowski, auto, sum, gryka, agat, Anna arkusz, Dąbrowska, owca, Esbin, Spala, tusz, gimnazjum, Agrypa, Odra, chór, okowy, Boh, pole, Wyszakowski.

P I O N E W O: Modrzewski, denar, Kierunki, gwiazda, historia, gama, stan, karabin, nos, wiatrak, Kraszewski, Brzechwa, powrota, smardze, mur, Potop, diabeł, Abel.

Nagrodę wylosował Wiesław Wętyk Powiatowa Stryczniowego 23, 20-100 Lublin.